Nr. 27. Warszawa, dnia 24 Czerwca (6 Lipca) 1895 r. Rok XV.

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY“**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

***Adres: Żórawia Nr. 34.***

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.





## POLITYKA.

### WALKA Z CRISPIM.

Przez pół roku trzymał Crispi parlamentaryzm włoski w areszcie, przez pół roku jątrzył opozycyę radykalną — ludzi, którzy inaczej, żywiej i goręcej myślą i czują, niż on sam, i stąd też dążą do rządów, z innym programem i na fundamencie innych, niż jego własne mniemań, jeśli już nie zasad, opartym. Ludzie ci czekali tylko uwolnienia aresztanta, aby wziąć pomstę z wroga, i przez cały czas rewidowania list wyborczych i uspokajania nazbyt wzburzonych umysłów kuli oręż na dzień walki. Rezultat wyborów, oddający dwie trzecie przedstawicieli narodu w moc rządu, podniecił jeszcze namiętność dawniejszą nowem uczuciem liczebnej bezsilności. Wreszcie d. 10 czerwca zgromadzili się wybrańcy narodu i mowa tronowa, powołując sejm do działania, przyniosła mu zuchwałe usprawiedliwienie osobistej kary, wymierzonej na przeciwników Crispiego przez zawieszenie władzy prawodawczej, zapewnionej całemu narodowi. Opozycya wybuchnęła, zaryczała: „Amnestyi!“ — przeciwnicy wywołali scenę gwałtowniejszą chyba od wszystkich dawniejszych i oto świat dowiedział się, że d. 19 b. m. w parlamencie włoskim rozpraw nie było, ale była za to bójka — i jaka jeszcze!

Sama już odpowiedź Crispiego, nakładająca kaganiec na usta sejmu, pod tym pozorem, że wyłączne prawo króla do ułaskawiania winnych nie cierpi gwałtu żadnych wskazówek, stawianych przez sejm, była wyzywającą. I wyzwała też najburzliwsze żywioły opozycyi. Uragan przeciągnął przez Izbę, ale nie radykalni rozpoczęli bójkę. Zaszczyt ten należy się kryspijczykom. Dopiero gdy Casali w towarzystwie stu innych wtargnął przed ławy opozycyi — wszyscy z podniesionemi pięściami—deputowany medyolański, De Andreis, przemówił do wodza tej wyprawy: „Chcesz dostać po pysku, to chodź!“ W oka mgnieniu rzucili się kawalerowie na republikanów i socyalistów, zepchnęli zbitego, zdeptanego, wpółżywego De Andreisa na ziemię, pod ławę, i otrzymawszy nowe sukursa, całe terytoryum oblicz republikańskich dłońmi swemi i pięściami przemierzyli, na brak wzajemności skarżyć się nie mogąc. Ten występ jarmarcznych pijaków trwał okrągłe minut 20. Prezydent, jeszcze Villa, nie zdążył wcześniej wsadzić kapelusza na głowę—upominał tylko i dzwonił! Owocem tego dnia pracy parlamentarnej jest obostrzenie regulaminu Izby—i skrucha nazajutrz i cisza.

Po dwóch dniach przerwał ją znany przyjaciel Francyi, republikanin i radykalista społeczny, Cavalotti ogłoszeniem dokumentów, które zbierał przez całe to pół roku, kiedy naród siedział na pokutnym kamieniu. Miały one zabić Crispiego odrazu; właściwie dzięki tylko jego własnemu współdziałaniu zdołały go postawić w cieniu niemoralności. Cały ten oręż straszliwy nkuty jest lekką ręką. Cavalotti sięga jeszcze do „bigamii“ Crispiego, który istotnie w r. 1854 pojął był żonę jedynie kościelną tylko, a w r. 1878, za jej życia jeszcze, drugą, już prawno-cywilną — i ta okazała się rzeczywistą jego połowicą. Ale sprawa ta, raz już wytoczona przed forum moralności włochów, nie zaszkodziła wcale pierwszemu ministrowi, a że moralność ta maleje, zamiast rosnąć, poruszenie zatem owej bigamii na nowo mogło obecnie tylko dopomódz Crispiemu. Upadek tego wstydu, któryby zdolnością wyczuwania występku nazwać można, jest we Włoszech tak wielki, że jeden z ich najlepszych i najzdolniejszych ludzi, senator Sonnino, który w r. 1878, po powtórnem ożenieniu się Crispiego, uważał go za „potępionego przez sumienie narodu i raz na zawsze już moralnie zabitego,“ obecnie jest jego przyjacielem domowym i kolegą w gabinecie.

Inne „dokumenta“ Cavalottiego przynoszą zarzuty: łapownictwa *a la Wilson* i sprzedawania głosu bankom. Tam dowodem ma być notatka Reinacha o 50,000 fr. danych Crispiemu, i liścik tegoż, błagający o order (Mauryciego) dla Hertza, znanego z Panamy francuskiej złodzieja; tutaj — podniesienie z Banca Romana 50,000 lirów nazajutrz po mowie w Izbie przeciwko śledztwu parlamentarnemu, które miało wykryć wszystkie szachrajstwa bankierskie. Nie są to dowody, ale podejrzenia. Crispi wybornie z zarzutów się tłómaczy— i może ma słuszność. Sam tylko moralnie sobie zaszkodził przez odmówienie wyjaśnień, gdy sprawę d. 25 czerwca wytoczono w Izbie poselskiej sejmu. Opozycya, sama zwiedziona przez Cavalottiego, chciała rozpatrzenia zarzutów i podejrzeń ze stanowiska moralności, a na opozycyę tę złożyli się już nietylko radykalni, ale i część prawicy monarchicznej, trzymająca z Rudinim. Człowiek prawdziwie silny, na mocnej podstawie własnego sumienia i samowiedzy stojący, byłby instynktownie rzucił się na mównicę i zdruzgotał wrogów: Cavalotti okazałby się wtedy błaznem, a Crispi indywidualnością wyższą, przebijającą się przez tłum mały, poziomy, ohydny, przez błoto człowiecze. Ale stało się inaczej, bo też i innym człowiekiem jest Crispi, a ta większość, która go wyciem swojem do odmowy zachęcała, ni-

czem również nie przypomina jędrnych zastępów, jakiemi w narodach rozpoczynających dopiero życie konstytucyjne, dawniejszymi czasy idea rozumnej wolności dokonywała podbojów. Odroczenie na wniosek Torrigianiego, na całe pół roku rozpraw nad „kwestyą moralną," 283-ma głosami przeciw 115 pokazało lepiej, niż wszystkie dokumenty i wybryki radykalizmu, jak długą jeszcze mają przed sobą drogę włosi, zanim się do życia konstytucyjnego uzdolnią.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Salisbury'emu tworzenie nowego gabinetu poszło — z oporem, ale go już ma. Dn. 25 z. m. z rana jeszcze nie był urzędowym formatorem, nazajutrz zaś mógł już rozesłać po Europie kilka nazwisk przedniejszych najpierwej pozyskanych: ks. Devonshire na prezesa rady tajnej, Balfoura na pierwszego lorda skarbu, tj. przewódzcę stronnictwa rządowego. Chamberlaina na m. kolonii, Hicks-Beacha na kanclerza (ministra) skarbu, Goschena wreszcie — na ministra marynarki. Dalsze telegramy uzupełniły tę listę aż do liczby szesnastu: lord Halsbury lord kanclerz (min. sprawiedliwości), margr. Cross strażnik pieczęci, James Henryk kanclerz księztwa Lankasterskiego, White Ridley minister spraw wewnętrznych, margr. Lansdowne minister wojny, lord Hamilton sekretarz Indyj, C. S. Ritchie prezes urzędu handlowego, lord Cadogan namiestnik Irlandyi, lord Ashburne kanclerz (minister) Irlandyi, lord Balfour of Bourleigh sekretarz Szkocyi. Szesnastym jest sam Salisbury, jako pierwszy minister i zarazem kierownik wydziału spraw zagranicznych. Gabinet miał dostać jeszcze dwóch członków. Datą rozpoczęcia jego funkcyj będzie 29 czerwca; w tym dniu bowiem ministrowie dawni odwieźli królowej do Windsoru pieczęcie państwa, a królowa doręczyła je nowym ministrom, którzy już i przysięgę poskładali.

Nowi ministrowie mają zapewnione poparcie liberalno-radykalnej większości we wszystkich sprawach, potrzebujących już tylko formalnego załatwienia. Parlament będzie już za tydzień rozwiązanym, nowe wybory dadzą silniejszą podstawę jednemu lub drugiemu stronnictwu. Dnia 2 b. m. Balfour zawiadomił, że zapasy amunicyi są istotnie niewystarczające: w Indyach przypada na jeden karabin tylko 600 nabojów, w Koloniach 500—800, w Anglii i tego nawet niema. Słusznem więc było oskarżenie poprzedniego rządu przez Brodricka o niedostateczną dbałość. Wiadomo, iż ta właśnie mocya była formalną przyczyną upadku dawniejszego gabinetu. Irlandczycy prawdopodobnie teraz się pogodzą. Maccarthy rozesłał już po Irlandyi i irlandzkich okręgach Anglii, a wyprawił i do Ameryki odezwę, wzywającą do walki i wołającą o pieniądze na nową kampanię o *home rule*.

Powstanie macedońskie wygląda na małą ruchawkę, robioną przez bulgarów, którzy tylko o miedzę z terytoryum powstańczem graniczą od zachodu. Ks. Ferdynand miał czytać odezwy przygotowane i rzec: „Niech będą spokojni!" Niewielki powiat, ruszający się obecnie, jest spornym pomiędzy Serbią i Bulgaryą; zmniejsza to niebezpieczeństwo ruchawki dla Turcyi. Stambułow występuje jako opiekun i adwokat powstania, a jego „Swoboda" piorunuje na rząd „niedość patryotyczny." Charakterystycznem jest jednoczesne upomnienie się exarchy bulgarskiego o biskupstwa i parafie w Macedonii. Turcya odpowiedziała na żądanie przychylnie, ale ogólnikowo, zbywająco.

W sprawie armeńskiej trzy mocarstwa zażądały wyjaśnień miejsc ciemnych w drugiej odpowiedzi tureckiej i na jasność czekają. Dostanie się Salisburego do rządu — wzmocni oporność Turcyi.

We Francyi p. Ribot odniósł d. 29 z. m. zwycięztwo nad Jaurès'em i sprzymierzonymi z nim radykalistami. Oczyścił wewnętrzną swą politykę od zarzutów niedemokratyzmu. Uchwalono mu *votum zaufania*. Minister rolnictwa, Gadaud, złożył na jeden dzień tekę i schwycił szpadę, aby w pojedynku z głośnym Mirmanem, deputowanym-jednolatkiem, zadać mu ranę. Sprawiwszy się z obowiązku honoru, wrócił do prac ministeryalnych.

Chiny mają dostać aż trzy pożyczki: rosyjsko - francuską, angielsko - niemiecką i czysto angielską. Ostatnia z nich zaczyna już wkraczać w rzeczywistość: wypuszczona na milion f. st. po 106 za 100, będzie dawała 6 od sta.

W Berlinie wykonano zamach na dyrektora policyi, Krausego; w Dublinie jakiś robotnik znalazł na ulicy puszkę z dynamitem, która go rozszarpała.

W Wiedniu mówią wciąż o Taaffem i o Badenim jako o przyszłych sternikach.

## BADANIA NAUKOWE.

## TYPY ZAWODOWE.

Wypadało nam już kilkakrotnie mówić w łamach *Prawdy* o tak zwanych typach zawodowych. Polegają one na tem, że ktoś w swojej naturze duchowej posiada szczególne pierwiastki, skłaniające go do postępowania w ten a nie inny sposób, zniewalające do wybrania pewnego zawodu, wreszcie zabarwiające życie jego pewnymi szczególnymi czynami. Naturalnie, nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby w tem wszystkiem istniał nieodzowny przymus, tj. ażeby dana osoba w pewnym wypadku inaczej postąpić mogła, niż nakazują jej „pociągi." Nie! Swoboda wyboru jest tam obecną, rzecz zaś cała polega na tem, że komuś bywa *przyjemniej* poświęcać się temu a nie innemu zajęciu, że *łatwiej* mu spełniać czynności w ten sposób, aniżeli w inny. Ta zaś „łatwość," względnie „przyjemność," sprawiają, iż w czyjemś życiu spotykamy częściej odpowiednie postępki. Tylko w razach wyjątkowych takie pierwiastki tkwiące prawdopodobnie w specyalnem, ukształtowaniu zmysłów lub nerwów, dosięgają tej mocy, że swobodny wybór znika i natomiast rodzi się przymus. Psychi-

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

# DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

## ZWIASTUN.

**Widok 8.**

Skit, oddalając się od swoich ludzi, spotkał po drodze Astjosa. Przystanął, objął go długo znawczem spojrzeniem, a z ożywionych jego oczu trysnął podziw.

**Astjos**

Jedną paciorkę nawlokę dziś wieczorem, ale jaką! Myślałem, że będę musiał ścigać Jalę, a ona mnie goni. Już pozwoliła rozpiąć sobie staniczek i pocałować się w śliczną dolinkę. Ostatecznie dochodzę do przekonania, że nie ma rozkoszniejszej woni nad czyste ciało młodej kobiety. Co teraz robimy?

**Heron.**

Będziemy szukali owych pachnideł. Jest to pora rannego spaceru i tokowania. Za chwilę wszystkie samiczki wylęgną na wybrzeże. Chociaż przygotuj się na to, że są między niemi bardzo poślednie i że niektórym zrobisz zaszczyt, gdy im pozwolisz z sobą upaść.

**Astjos.**

To mi obojętne. Abym nie potrzebował z niemi się podnosić, upadnę z każdą.

**Heron.**

Dla mnie jednak te domieszki towarzyskie są wstrętne.

**Astjos.**

Boś się postarzał. Każda ładna kobieta jest szlachcianką.

**Heron.**

Tak, ale zwykle ma ona męża, brata, ojca, kuzyna, który licho wie skąd wylazł, a natrętnie przysuwa się do ciebie, ociera się, czepia.

**Astjos.**

Trudno, mój drogi, jako wkup do wyższych sfer plebejusze dali nam swe piękno kobiety. Co do mnie, za tę cenę godzę się ich dopuścić, zwłaszcza że przyjąwszy daninę, mogę ich potem każdej chwili odpędzić.

**Heron.**

Gdy będziesz mniej potrzebował tych ofiar, częściej wzdrygać się będziesz na ich przydatki. I ja dawniej nie zwracałem na to uwagi, dziś mnie razi ten swąd, który się wciska wszystkiemi szparami do szlachty. Kto tu dziś nie przyjeżdża i nie miesza się z rodami arystokratycznymi? Wyzwoleńcy, kupcy, zbogaceni rzemieślnicy, zarządcy, którzy okradli swych panów, cały muł społeczny, który dawniej leżał na dnie, a dziś wypływa na wierzch. Za rok Skit, handlarz niewolników i przedsiębiorca zabaw, Ptelon kucharz, którego przed chwilą zgodziłem i inni im podobni będą naszymi przyjaciółmi.

**Astjos**

I owszem, aby tylko mieli ładne córki. Zresztą o co ci chodzi? Pomiędzy tobą a kwiczołem zachodzi większa różnica pochodzenia, niż pomiędzy tobą a Skitem lub Ptelonem. A jednakże kwiczoły lubisz — jeść. Czemuż w podobny sposób nie zachowujesz się wobec niższych urodzeniem? Jeżeli nie są ci na nic przydatni, patrz na nich, jak na wrony, które siadają i kraczą w twoim ogrodzie; a jeśli możesz ich zużytkować, postępuj z nimi tak, jak ze smaczną zwierzyną. A że ona przysuwa się do strzelca zamiast od niego uciekać — tem lepiej.

**Heron.**

Ale niech się nie nazywa ludźmi!

**Astjos.**

E, mój drogi, jesteś przesycony, więc wybredzasz. Ja jestem głodny życia, więc mi to wszystko jedno, z jakich naczyń będę pił rozkosz. Zresztą czasem przyjemniej położyć się na murawie, niż na dywanie.

**Widok 9.**

Słońce, wspiąwszy się wysoko, zaczęło z morza zieleni wyławiać perły rosy i nakładać na cienie dnia gorące blaski swego światła. Poranek krył się pod rozłożyste drzewa i w gęste zarośla, a ci, którzy przeciągnęli swe pieszczoty ze snem i teraz dopiero spłynęli na wybrzeże, chwytali już tylko ostatnie tchnienia orzeźwiającego chłodu. Mieszanina rozmów, nawoływań, szczebiotów i śmiechów rozlała się szeroko potokami gwaru, gdy na placu sta-

ka działa naówczas, jak gdyby była maszyneryą szczególnej budowy, z góry nakręconą. Przynajmniej takie otrzymujemy wrażenie, kiedy na rzecz spoglądamy z punktu subjektywnego.

Rok każdy przynosi nam coraz głębsze wejrzenie w te tajemnice naszego ustroju duchowego. Przekonywamy się, że w zakresie duchowości ludzkiej rozmaitość jest prawem zasadniczem: każda osoba, acz podobna do innych, posiada w sobie coś takiego, co ją wyróżnia z otoczenia. Rozwój zaś wiedzy teoretycznej w tej mierze nie omieszkał wywrzeć odpowiedniego wpływu na sfery działalności praktycznej. Kryminologia naówczas usiłuje oprzeć wymierzanie sprawiedliwości na takiem uwzględnieniu różnorodności psychicznej zbrodniarza. Jej zdaniem, trzeba karać nie za czyn, ale dążyć do zabezpieczenia na przyszłość społeczeństwa przeciw chuciom zbrodniczym, a chociaż kodeks ma do czynienia z tą samą zbrodnią, zabezpieczenie takie winno być różne, stosownie do tego, czy przestępca daje swojem przyrodzeniem duchowem tę lub inną rękojmię poprawy. Równie w pedagogice zyskuje uznanie pogląd, że natura dziecka nie jest jednolitą, że, co za tem idzie, ogólnie obowiązujące metody kształcenia muszą być bezwarunkowo ze szkodą dla umysłu młodocianego. Szkoła amerykańska uznała już tę zasadę. „Społeczeństwo—czytamy w jednem sprawozdaniu szkolnem — niechaj nie urąga przyrodzie twierdzeniem, że wszystkie dzieci są jednakowych uzdolnień i winny być według tej samej modły chowane. Każde maleństwo, to odrębna indywidualność. Jednostajne programy i metody, skoro są zastosowane do licznej rzeszy dziecięcej, trzeba potępić jako niemądre i niesprawiedliwe.“ Zasadę więc wyraźnie i jasno postawiono — w teoryi. W praktyce rozmaicie ją rozwiązują. W stanie Massachusets, chodzący do szkółki, w ciągu pierwszych miesięcy słuchają tego samego kursu, ale kiedy nauczyciel rozpozna zdolności—dzieli na dwie grupy, z których jedna kończy nauki w ciągu czterech, druga sześciu lat. Stan Waszyngton poszedł jeszcze dalej, bo zamiast dwu, wprowadził aż cztery szczeble uzdolnień. Przyznano więc, że uzdolnienia bywają różne i że nie wolno podciągać ich pod ten sam strychulec.

Kilka tych uwag nasunęła nam przełożona na język polski książka F. Queyrata*), poświęcona przedstawieniu wyobraźni u dzieci w jej różnobarwności. Dziełko to niewielkie i mało samodzielne. Zresztą autor nie posiada najmniejszych pretensyj do oryginalności. Otwarcie się przyznaje, że korzysta z cudzych poszukiwań i że tylko postanowił dać szerokim kołom czytelników w formie przystępnej zdobycze studyów specyalnych. Swoją drogą rzecz ta stanowi pożyteczny nabytek dla naszego piśmiennictwa, ubogiego pod tym względem. Korzystając z potrąconych tam zagadnień oraz przytoczonych faktów, zwrócimy uwagę czytelnika na pewne zjawiska, z któremi bezwarunkowo każdy się stykał, może dotkliwie odczuwał ich nieznajomość lub, co gorzej, przykładał sam rękę do normalnego rozwoju obcej indywidualności.

Queyrat uwzględnia trzy rodzaje umysłów, odpowiednio do roli i doniosłości rozmaitych obrazów, za których pomocą ktoś przedstawia sobie świat zewnętrzny, względnie odtwarza go: posługujące się przeważnie wzrokiem, następnie słuchem i wreszcie te, u których zmysł ruchu posiada pierwszeństwo.

Typ wzrokowy, kiedy idzie o zachowanie czegoś w pamięci, posługuje się niemal wyłącznie obrazami, dobytymi przy pomocy odpowiedniego zmysłu. Osoby, należące do tej kategoryi, kiedy myślą o kimś nieobecnym, widzą jego twarz, unaoczniają sobie rysy, ale nie odtwarzają dźwięków głosu jego, nie odczuwają ruchów; gdy wypadnie im nauczyć się na pamięć utworu poetyckiego lub wogóle ustępu z książki, starają się one wyryć sobie litery w umyśle i przypominając, odczytują je niejako w pamięci. Niektórzy śpiewacy, należący do wzrokowców, odśpiewując coś bez nut, w wyobraźni swojej mają je przecież przed sobą. O pewnym aktorze opowiadają co następuje: „Uczył się swojej roli bardzo prędko i grał ją dokładnie. Ale natychmiast po skończonem przedstawieniu zapominał tak dalece, że mając grać pewną sztukę kilka dni z rzędu, zmuszony był zawsze przygotowywać się na nowo. Gdy po raz pierwszy wykonywał swoją rolę, tracił wtedy z oczu publiczność. Zdawało mu się, iż ma przed sobą tylko stronice swojej książki, tak iż gdyby mu coś przerwało to złudzenie, zamilkłby natychmiast.“ „Wszystkie moje wyobrażenia wyrazów — opowiada ktoś o sobie—są wzrokowe. Chcąc zapamiętać wyraz jakiś, który słyszę po raz pierwszy, muszę natychmiast przedstawić sobie jego pisownię i nawet gdy słucham zajmującej pogawędki, zdarza mi się często, że jednocześnie uprzytomniam sobie słowo po słowie pisaną rozmowę.“ Przytoczymy jeszcze jeden przykład z praktyki Charcota: „Pamięć jego (tj. chorego) była przedewszystkiem wzrokową. Widzenie umysłowe dostarczało mu na zawołanie obrazu rysów, kształtów i barwy przedmiotów z taką dokładnością, jak sama rzeczywistość. Dwu lub trzykrotne odczytanie wystarczało do utrwalenia w jego pamięci stronicy z wierszami, tak iż czytając w umyśle, powtarzał żądany ustęp, który na zawołanie zarysowywał mu się z wielką dokładnością. Nie mógł sobie przypomnieć ustępu z jakiegoś przedstawienia w teatrze, które widział, ażeby natychmiast nie wywołać wspomnienia szczegółów samej sali.“ Richet, kiedy myśli o postępie, widzi wyraz *Progrès*, tłoczony czcionkami, przez duże *P*, z odpowiednim akcentem nad *e*.

Zupełnie inny typ umysłowy przedstawiają słuchowcy, podobnie często spotykani pomiędzy muzykami, jak wzrokowcy wśród malarzy. U osób tej kategoryi obrazy słuchowe odznaczają się szczególną żywością i one to służą za podstawę i materyał do rozmaitych czynności umysłowych. Tak np. ktoś, należący do typu wzrokowego, przypominając sobie ustęp jakiś z książki, widzi jakby wytłoczone litery, natomiast osoba, posługująca się wrażeniami słuchowemi, słyszy dźwięki wyrazów. Różnica pomiędzy wzrokowcami a osobami obdarzonemi pamięcią, względnie wyobraźnią słuchową, jest głęboka. „Gdy piszę jakąś scenę — mówił razu jednego Legouvé do Scribego — *słyszę* ją, pan zaś *widzi*: przy każdem zdaniu, które

*) Fr. Queyrat. *Wyobraźnia u dzieci i jej odmiany*, studyum psychologiczno-pedagogiczne, str. 148.

---

nął poseł i uderzył trąbką trzykrotny sygnał. Wszyscy zbiegli się około niego ciekawie — a on czytać zaczął.

**Poseł.**

„W imieniu władcy zjednoczonych ziem i ludów Mory i z rozkazu króla zjednoczonych dzielnic Godonu, wielkorządca Padory czyni wiadomem: Do uszu monarchów państwa i jego dostojnych doradców doszła skarga wielu szlachetnie urodzonych obywateli, że ich niewolnicy i wyzwoleńcy, pozostający w poddaństwie, bądź uciekają samowolnie do innej służby, bądź gromadzą się w bandy grasujące swobodnie po okolicach. Dla zatamowania tego nadużycia dozwala się panom karać śmiercią bez sądu niewolników własnych, którzy zbiegli, pozostałym wypalać lub wykłuwać na czołach z napuszczeniem farby imiona swoje lub swoich posiadłości. Co do wyzwoleńców, ci mają odtąd nosić krótką tunikę żółtą z jednym rękawem i wyszytem na niej grubą czarną nicią nazwiskiem patrona. Wzywa się obywateli, aby ten dzień upamiętnili zabawami, a nazajutrz złożyli ofiary bogom z prośbą o błogosławieństwo dla niniejszego edyktu.“ Podpisał wielkorządca Padory — Intos.

**Głosy.**

— Niech żyje!
— Nareszcie!
— Należało to uczynić wcześniej.
— Będziecie wypalać, czy wykłuwać?
— Ja nie jestem oprawcą, szanowny obywatelu, mam służbę, która to załatwi.
— Nie wątpię, ale wolno spytać o gust.
— Dzień dobry, Heronie. Zajdźże do winiarni Korbila. Sprowadził dwa pyszne koguty z okutymi pazorami. Wściekle z sobą walczą, ale równe w sile i zręczności, to też zgrywamy się w zakładach straszniel
— Obawiam się, ażeby niewolnicy, przestraszeni tem rozporządzeniem, jeszcze bardziej nie uciekali.
— A, i piękny Astjos tutaj! Kobiety ołtarz ci postawią.
— On przyjmie od nich ofiary bez ołtarza.
— Ostrożnie, niewiasty stoją niedaleko i słyszą.
— Nie wypożyczaj im swoich rumieńców.
— Heronie, podobno masz dużo w tym roku kuropatw. Wybieramy się do ciebie na polowanie. Kupiłem ułożonego lisa.
— A gdzie niewolnicom wypalać znaki?
— Na podeszwach stóp, ażeby ich nie szpecić.
— To tylko będą potrzebowali robić starzy panowie młodym dziewczynom.
— Każdy stary pan ma młodego kuzyna.

**Głosy kobiece.**

— To będzie okropnie boleć.
— Czyż ty sądzisz, że niewolnicy mają tak wrażliwe ciało, jak my?
— W każdym razie czują.
— Troszkę ich zaszczypie i przestanie. Moja droga, ileż to zwierzętom robią bolesnych operacyj, bez szkody dla ich zdrowia.
— Ale jaki to będzie przykry swąd z tych przypaleń!
— Ja widzieć tego nie będę.
— Naturalnie.
— Mamy kilku ładnych chłopców, których mi bardzo żal. Uproszę męża, ażeby ich nie piętnował.
— A zazdrosny?
— Bardzo.
— To daj pokój, bo ich jeszcze bardziej okaleczy.
— Przypuszczasz, że mógłby mnie podejrzywać...
— Ach, moja kochana, oni do tego są zdolni. Miałam pawia, który mi siadał na ramieniu. Cóż paw może przeszkadzać mężowi? A jednakże kazał go struć.
— Widziałaś Astjosa? Śliczny!
— Mąż Jali powinienby go otruć.
— Kiedy on jej nie siada na ramieniu.
— Ej, złośnico!
— Podobno Skit urządza dziś wieczorem świetne zabawy.
— Tak zapewnia. Z wyjątkiem dwu namiotów, do wszystkich będzie nam wolno wejść.
— Co będzie w tych dwu?
— Mężowie nam opowiedzą.
— A jeśli która, jak ja, nie ma męża?
— To niech się na dzisiejszy wieczór postara.
— Proszę mnie nie obrażać.
— Ja ci tylko moja duszko, dobrze życzę.
— Cicho! Mężczyźni nadchodzą. Ten z brzegu od nas to Astjos, obok niego Heron, mąż jego pięknej siostry, Orli; dalej stary urwis Kobus, za nim komedyopisarz Anor.

(D. c. n.)

piszę, głos osoby przemawiającej dźwięczy mi w uchu. U pana, który jesteś wcieleniem sztuki teatralnej, aktorzy chodzą i wogóle poruszają się w oczach pańskich. Ja jestem słuchaczem, pan — widzem." „Nic słuszniejszego — odparł Scribe. — Czy wiesz pan, gdzie się znajduję, pisząc sztukę? — W środku parteru!"

Kiedy osoba, należąca do typu słuchowego, przypomina sobie rozmowę, w której brała udział, a tem bardziej gdy ją utrwala na papierze, często słyszy dokładnie mowę nieobecnego interlokutora. Gdy rachmistrz tego typu dodaje rachunki w pamięci, nie widzi cyfr, ale ma je w uchu, tymczasem zgoła przeciwnie dzieje się pomiędzy wzrokowcami: przedstawiają sobie cyfry tak, jak gdyby były wypisane na tablicy. Rozumowanie bywa tam również słuchowem. „W miarę rozwijania się myśli naszej, wymawiamy ją po cichu. Ta mowa wewnętrzna, która zawsze towarzyszy naszym rozmyślaniom, daje się nam we znaki — opowiada Egger. Wieczorem, kiedy zgasiwszy lampę, zawieszamy na czas jakiś działalność refleksyjną, sen nie przychodzi. Dręczeni bezsennością, nie możemy zmusić myśli swojej do milczenia: słyszymy ją wówczas, posiada bowiem głos; towarzyszy jej mowa wewnętrzna, żywa równie jak ona. Kiedy mówimy głośno, mowa wewnętrzna jest również obecna, milknie tylko chwilami. Gdy zatrzymujemy się, ażeby odetchnąć, kiedy krótkiemi pauzami zaznaczamy punkty i przecinki w zdaniach, słyszymy ją: przypomina nam wątek wygłaszanej przez nas mowy, podpowiada wyrazy, które następują, służy nam za przewodnika albo raczej jest suflerem dla mowy zewnętrznej."

Typ ruchowy mniej dotychczas uwzględniono, aniżeli poprzednie i z tego powodu nie tak jest znany. Prawdopodobnie jednak zdarza się w rzeczywistości równie często, jak oba powyżej rozpatrzone, tj. wzrokowy i słuchowy. Nie miejsce tutaj rozwodzić się nad jego istotą oraz nad znaczeniem wogóle wrażeń ruchu w umysłowości każdego z nas. Zaznaczymy tylko, że obrazy czuć mięśniowych, stanowiące właśnie podstawę wrażeń ruchu, u pewnych osób mogą się wznosić aż do wyżyn jasnej świadomości i wtedy zamiast wzrokowych i słuchowych, odgrywają pierwszorzędną rolę przy przypominaniu wyrazów i wykonywaniu różnych czynności umysłowych. Tak np. bywają osoby, które daleko lepiej przypominają sobie jakąś stronicę, jeżeli ją głośno przeczytały lub przepisały, jak również rysunek, jeśli kontury jego oprowadziły palcem. Galton podaje fakt następujący:

„Pułkownik Montcraft spotykał często w Ameryce północnej młodych indyan, którzy zwiedzając od czasu do czasu obóz jego, interesowali się bardzo rysunkami, jakie im pokazywano. Jeden z nich oprowadzał starannie nożem kontury rysunku, zapewniając mnie, że w ten sposób łatwiej mu będzie wyrytować go po powrocie do domu." W tym wypadku wrażenie ruchu winno było wzmocnić pamięć wzrokową; młody indyanin był okazem typu ruchowego. „U mnie — opowiada o sobie ktoś inny — obrazy ruchowe posiadają bardzo znaczne natężenie. Nie widzę ani nie słyszę myśli swojej, lecz wymawiam ją w duchu."

Naturalnie, jednostronne a krańcowo typy wyobraźni są w życiu względnie rzadkie. Przeważają przeciętne. Osoby, należące właśnie do takiego odłamu zwykłych, normalnych śmiertelników, nie są obdarzone jedynie lub głównie wyobraźnią rachunkową, ani wzrokową lub słuchową, lecz łączą w sobie wszystkie trzy razem. Ich zdolności spostrzegawcze równoważą się wzajem. Jeżeli np. przypominają sobie kogoś, to widzą w myśli postać tę równie wyraźnie, jak słyszą dźwięk jej głosu. Myśląc np. o dzwonku, uprzytomniają sobie jego kształty, twardość i ciężar, wreszcie dźwięk z wszystkiemi właściwościami. Każda rzecz istniejąca występuje w ich pamięci ze wszystkiemi swojemi stronami: twardością, barwą, postacią. Rozumie się wzajemne liczebności, oraz różnorodność tych obrazów podlegają stopniowaniu. Wszystkie rodzaje pamięci mogą dosięgać bardzo wielkiego natężenia, albo przeciwnie, znajdować się w stanie zarodkowym. Ale zawsze wszystkie one są obecne.

Tak wyglądają fakty. Przejdźmy teraz do pedagogiki. Widoczną jest rzeczą, że wychowawca powinien poznać przedewszystkiem, jakie obrazy przeważają w umysłowości dziecka, które powierzono jego kierownictwu. Różne bowiem sposoby zapamiętywania i przyswajania sobie wiadomości przynosimy z sobą na świat i postępujemy odpowiednio w ciągu życia. Dziecko, wiedzione naprzód ślepym instynktem, później zaś nabytem doświadczeniem, wybiera taką drogę, która pozwala mu np. nauczyć się lekcyi w sposób najprędszy i najłatwiejszy. Należące do wzrokowców będzie pocichu uczyło się lekcyi: pochłania ono okiem wyrazy i ich układ w zdaniach; a podczas wydawania cały wyraz twarzy świadczy o tem, że jakby teraz odczytuje to i wygłasza. Oczy z lekka przymrużone, bo malec na tle czarnem łatwiej „spostrzega" wyrazy. Ktoś inny natomiast będzie się uczył przy pomocy wyrazów słuchu. Wyszuka więc chętnego przyjaciela, któryby zechciał głośno odczytywać zadaną lekcyę, lub jeszcze lepiej, opowiadać ją własnemi słowami, sam zaś będzie uchem chwytał wyrazy. Przy wydawaniu lekcyi tak się zachowuje, jak gdyby ktoś mu podpowiadał to, co ma mówić. Istotnie, słyszy dźwięki głosu swojego towarzysza. Wreszcie zgoła inaczej zachowuje się dziecko, należące do typu ruchowego. Musi ono głośno przeczytać swoją lekcyę, tj. przyzwyczaić mięśnie organów mowy do drgań odpowiednich. Przypominając sobie lekcyę, chociażby pocichu wykonywa ruchy ustami i językiem, tj. jakby wymawia wyraz za wyrazem. Jeszcze lepiej może zapamiętać dany ustęp, gdy przepisze go raz jeden i drugi.

Dziatwa więc przynosi z sobą pewne „fanaberye," jak twierdzą szanowni pedagodzy i jeszcze częściej nieobeznani z psychologią rodzice. Niekiedy malec pada ofiarą tego nieuctwa. Nie mogą pojąć, dlaczego jeden dzieciak uczy się lekcyi pocichu, a drugi wrzeszczy głośno, dlaczego wreszcie dziewczyna upiera się, iż sama jedna nie może pracować, lecz potrzebuje towarzyszki, którąby z nią uczyła się głośno. Usiłują swojemu maleństwu wybić takie „zachcianki" z głowy: masz się uczyć tak a tak! Niestety, jedynie utrudniają naukę takiem postępowaniem, bo zamykają drogę najłatwiejszą i może wyznaczają najtrudniejszą, w ciągu zaś dalszym zniechęcają dziecko. Przywary tego rodzaju są to wprost następstwa duchowej natury maleństwa, z któremi trzeba się pogodzić, jako z koniecznością. Książka Queyrata jest więc bardzo pożytecznym przyczynkiem w naszem piśmiennictwie i z tego powodu polecamy ją wszystkim rodzicom.

— *i.* —

## LITERATURA I SZTUKA.

### LITERATURA ANGIELSKA.

Humphrey Ward, *Marcella*. 3 tomy. Londyn, 1895.

Do literatury wprowadza kobieta powiewy orzeźwiające. Zwątpienia, które wyjałowiły mężczyznę, jej jeszcze nie dotknęły. Ile w nich nadziei i wiary w ludzi, w miłość! Zapatrzeni w rozpaczliwe wskazówki psychologii, pisarze coraz bardziej się przekonywają o nieuleczalnem swem osamotnieniu. Jesteśmy oddzieleni jedni od drugich pustynią większą, niż Sahara. Wołamy i nikt nas nie słyszy. Tłomaczymy się — nikt nie rozumie. Miłość jest największym ze smutków ludzkich, gdyż jest najpotężniejszym wysiłkiem wyjścia z osamotnienia — wysiłkiem bezskutecznym! Dla Orzeszkowej lub dla Ward te subtelności nie istnieją: miłość jest dla nich doskonałem obcowaniem dwojga dusz, które zresztą poza uczuciem mają w świecie zewnętrznym dość do czynienia w pracy dla bliźnich. Z punktu widzenia analizy, stosunki bogaczów i biedaków mogą być oparte tylko na pogardzie i nienawiści. Litość jest tu albo obłudą — przypomina ona smakoszów, co zajadając tłuste kotlety, ronią łzy nad biednem cielęciem — albo usprawiedliwieniem się, przyznaniem do winy. U autorek bogate dziedziczki pracują, bez tych skrupułów, dla dobra ubogiej braci. To też ostatnia powieść p. Ward jest swego rodzaju oazą.

Krewni niebardzo dbali o Marcelę, gdy była dzieckiem. Oddano ją na pensyę i płacono regularnie. Tak spędziła dzieciństwo i młodość. Był to grunt, na którym dobrze przyjąć się mogły teorye sprawiedliwości i nienawiść krzywd. Odpowiednie książki i znajomość kilku artystów o przekonaniach demokratycznych dokonały dzieła.

Powróciwszy do domu rodzinnego, Marcela jest oburzona kontrastem między zbytkiem, który otacza jej krewnych, a nędzą robotników wiejskich, brudem ich mieszkań, ubóstwem odzieży, skromnością pokarmu. Jej sumienie nie zna i nie chce znać żadnych układów: ono widzi z jednej strony wyzyskiwaczy, z drugiej — ofiary. Są to — zdaniem autorki — skutki młodości i dopiero cały szereg doświadczeń i rozczarowań doprowadzi ją do prawidłowego poglądu na rzeczy.

Sąsiadem Marceli jest Aldous Raeburn, człowiek przekonań umiarkowanych, ale szlachetnego charakteru, gotów walczyć z nadużyciami arystokratycznej tyranii i zajęty szczerze poprawieniem losu drobnych fermerów, chłopów i robotników, którzy od niego zależą. Cel skromny, ale ściśle określony i możliwy dla praktycznego uskutecznienia, podczas gdy ogólne humanitarne teorye Marceli nie dają się sprowadzić z mglistych sfer na grunt rzeczywistości.

Pomimo tej różnicy przekonań, podobali się sobie, wchodzą w coraz bliższe stosunki, które się kończą zaręczynami. On ją kocha, ona odpowiada mu daleko chłodniejszą sympatyą. Tymczasem zjawia się na scenie Harry Wharton, podupadły szlachcic, bez przekonań i środków do życia, który z demokratycznych frazesów robi sobie broń dla zdobycia fortuny. Jest on bardziej interesujący i żywy, niż chłodny, punktualny Raeburn. Zręcznością, wymową dobija się tego, iż jest wybrany na posła do parlamentu, jako przedstawiciel robotników, których oczarował zwodniczemi tyradami. Jednocześnie stara się zdobyć serce Marceli, jakkolwiek wie, iż jest zaręczoną z innym. Dopiął wkrótce i tego celu, zwłaszcza iż okoliczności były mu nadzwyczaj przychylne. Jeden z chłopów, którzy najbardziej interesowali Marcelę, Jim Hurd, poluje w lasach lorda Maxwella, dziadka Raeburna, pomimo zakazu. Leśniczy Westall chwyta go na uczynku i chce wygrzmocić kijem. Hurd strzela i kładzie trupem Westalla, poczem wraca do domu, do żony suchotnicy i mrących z głodu dzieci. Aresztują go i wszystko każe przewidywać, iż będzie powieszony. Marcela, pomimo próśb swych krewnych i narzeczonego, bierze bez wahania Hurda pod swą opiekę, żywi jego żonę i dzieci, odwiedza go w więzieniu.

Tymczasem Aldous Raeburn, jako sędzia, jest zmuszony, głównie przez wskazówki własnego sumienia, skazać Hurda na stracenie — ku wielkiemu oburzeniu Marceli. Korzysta z tego Wharton, aby natychmiast wziąć w swe ręce obronę winowajcy. Sprawa ta jeszcze bardziej pogłębia przepaść, która dzięki różnicy przekonań oddziela Marcelę od Raeburna — natomiast przyczynia się znakomicie do zbliżenia się z Whartonem. Bohaterka nie chce widzieć narzeczonego, dopóki wyrok ostateczny nie zapadnie, spędza natomiast czas z Whartonem w naradach nad obroną Hurda. Obrona ta jednak do niczego nie prowadzi: winowajca skazany zostaje na karę śmierci. Wówczas Wharton przygotowywa prośbę, która ma być przedstawioną królowej w celu uzyskania łaski, ale która powinna naprzód być podpisana przez arystokratycznych przedstawicieli okręgu, lordów Maxwella i Raeburna. Marcela udaje się do nich prosząc o podpisy. Tu zawiera się najbardziej dramatyczny rdzeń powieści.

— Proszę spocząć na tym fotelu — rzekł lord Maxwell, powstając dla przyjęcia Marceli. — Biedne dziecko, a więc chcesz koniecznie jeszcze poruszyć ten smutny przedmiot?

— Tak — odrzekła, powstrzymując swe wzruszenie. — Przyniosłam podanie do rządu, prosząc, abyś pan i Aldous je podpisali, jeżeli to jest możebne. Wiem, iż będzie to trudne, ale spodziewam się, iż zdołam was przekonać.

— Moja droga — rzekł lord Maxwell, zbliżając się ku niej i kładąc swą dłoń na jej ramieniu — zrobiłbym to chętnie, gdyby mi sumienie pozwalało. Ale to jest sprawa obowiązku społecznego dla Aldousa i dla mnie. A na pewno nie chciałabyś, abyśmy się dali pokonać względom prywatnym.

— Nie, ale nie miałam dotychczas sposobności mówienia z wami. Wszystko zależy od tego, czy możemy wierzyć twierdzeniom Hurda. Otóż on utrzymuje, iż wyszedł bez najmniejszego zamiaru zabijania Westalla i że wystrzelił dopiero wówczas, gdy ten zamierzył się nań kijem. Zabójstwo, dokonane w takich warunkach, zasługuje na okoliczności łagodzące.

Tu zaczęła rozwijać punkt po punkcie i z wielką wymową, prośbę, nader zręcznie ułożoną przez Whartona. Gdy skończyła, zwróciła błagające spojrzenie na lorda Maxwella. Ujął ją za dłoń i rzekł:

— Mówiłaś ze szlachetnością i zapałem, jak tylko kobieta współczująca i dobra mogła mówić, ale to wszystko nie jest dla mnie nowe, moje drogie dziecko. Z najlepszą w świecie wolą nie mogę podpisać prośby. Hard popełnił morderstwo i musi ponieść karę mordercy. Gdybym chciał ustąpić nietylko twym prośbom, ale i własnym popędom współczucia ku żonie i dzieciom, dopuściłbym się występku względem społeczeństwa i zmniejszył jeszcze bezpieczeństwo całej klasy uczciwych swych sług, z których jeden już opłacił swą wierność życiem.

Marcela zwróciła się w stronę narzeczonego.

— A pan, czy mówisz w ten sam sposób?

— Nie mogę podpisać tej prośby, jakkolwiek to mnie mocno boli.

Oburzenie wstrząsnęło Marcelą; kazała szybko podać karetę, blada z gniewu.

— Marcelo! — zawołał Aldous — bądź sprawiedliwą względem mnie, jeżeli nie umiesz być wspaniałomyślną.

— Sprawiedliwą? — powtórzyła. — I pan możesz mówić o sprawiedliwości, pan, w tym domu, w tym zbytku? I trzeba, abym z powodu waszego sumienia, poszła obwieścić tej nieszczęśliwej kobiecie, iż nie ma już żadnej nadziei! Nie chciałabym mieć waszego sumienia! Czemuż nie posiadasz pan przynajmniej serca!

Wybuchnęła płaczem, rzucając na otaczający ją zbytek wzrok, pełen pogardy.

— Gardzisz pani mojem bogactwem — rzekł, ujmując ją za rękę — ale nie masz prawa gardzić człowiekiem, który dał ci swe serce i prosi, abyś go nie uważała za obłudnika.

Cofnęła się, mówiąc: „Proszę, niech pan każe zajechać karecie. Znam kogoś, kto mi pomoże." I odjechała.

Projektowany związek małżeński spełzł na niczem. Marcela wraca do Londynu i poświęca się całkowicie sprawie biednych. Jednocześnie śledzi uważnie działalność Whartona, który jako deputowany i redaktor dziennika demokratycznego, w dalszym ciągu pozornie popiera sprawę ludu pracującego. W rzeczy samej sprzedał się jego wrogom. Marceli udało się natychmiastowo otrzymać dowody tej zdrady. Jej rozczarowanie było fatalne. Zrozumiała, iż „jedyną rzeczą, która ma znaczenie w człowieku, jest uczciwość i szczerość." Z tego punktu widzenia Raeburn, który poświęcił swą miłość dla swych przekonań, wyrósł niesłychanie w jej oczach. Odtrąca Whartona i pała gorącą miłością dla dawnego narzeczonego, który teraz starannie ją omija. Jest więc zmuszona sama poczynić pierwsze kroki dla nawiązania zerwanego stosunku. Starania jej uwieńczone zostały pożądanym skutkiem. Wyrzekła się wszelkich agitacyi i jest wielką damą, która „ma swych biednych" i nie skąpi im grosza, a głównie swych rad.

Krytyka angielska uważa tę powieść za najlepszą z tych, jakie od czasów G. Elliot napisała kobieta. Istotnie, pani Ward ma talent, cierpiący trochę na rozwlekłość — ale jest to talent szablonowy, który nowych dziedzin piękna odkrywać nie umie. Trzeba dodać, iż brzydota i miernota samego życia także wiele do tego się przyczynia. A więc jeszcze jedno znakomite stadło. W obojgu dusze na wieki spać będą. Wracając do punktu wyjścia naszego artykułu, zaznaczyć możemy granice talentu pani Ward. Gdy każdy gest kochanej porusza w naszym mózgu całe odmęty myśli i obrazów, gdy jej oczy wzbudzają wspomnienia światów, których nigdy nie oglądaliśmy, gdy za jej uśmiechem grube ciemności w nas się rozwidniają, aby zostać na zawsze, jako kraje nowo odkryte i wzięte w posiadanie — nawet wówczas poznajemy siebie i tylko siebie. Chłop, słuchający Beethowena, słyszy tylko szum niekształtny. Gdy go rozumiemy, my go tworzymy. Piękno musi być w nas, nie po za nami. Czarne kropki na białym papierze, ręce przebiegające po klawiszach — to preteksty dla naszej twórczości. Artystyczne piękno miłości jest dla p. Ward — a może i dla kobiet wogóle — niedostępne. Ona umie łączyć czułe stadła i — liczne stada.

Tak, napróżno chcielibyśmy odgrodzić się murem chińskim od świata. Jakkolwiek nie podpisywaliśmy kontraktu społecznego, związani jesteśmy z otaczającym tłumem tysiącem więzów nierozerwanych; on wrywa się bez ceremonii do naszej duszy i może oddać nam wszystkie swe cierpienia jednem spojrzeniem lub krzykiem!

Jesteśmy coraz wrażliwsi na cudzy ból, stajemy się biernemi zwierciadłami, w których odbija się cała szarzyzna i cała brzydota społeczna. Rozkosz bytu jest nam coraz bardziej obca: istnieją o niej już tylko podania, jak o przebrzmiałej, legendarnej Atlantydzie, zaginionej w falach oceanu. Czytamy o niej w podaniach o kobietach starożytnych i średniowiecznych, rzucających czary niewymowne na poetów milczących i nieruchomych z obawy, iż się rozpierzchnie widzenie światów, które one przed nimi rozwarły. Czytamy o niej w dźwięcznych heksametrach, opiewających bohaterów, którzy z jednakową radością spotykali grom i blask słońca, i byli nie banalni, lecz wprost tragiczni w swem dążeniu do użycia, do wyniesienia się ponad strach i litość i ponad ciemne siły Nocy skuwającej osobowość. My tępimy szlachetny ferment, który ją pędził w górę, wylewamy do rynsztoków publicznych mocny wyskok pełen szału, obfity w genialne pijaństwa. Dlatego zgodzić się trzeba z poetami, iż nad tym światem zgrzybiałym nawet purpury zużytych i nikomu niepotrzebnych zachodów płowieją, drzewa się nudzą, białe od kurzawy czasów. Żyjemy w epoce, która się znajduje u schyłku piękna.

*L. H.*

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Z GALICYI.

A zatem koalicya już nie istnieje. Byłbym o niej nie pisał, gdyby nie spuścizna, jaką zostawiła po sobie. Upadła w drobnej na pozór sprawie, bo szło o kilkanaście tysięcy zł. reń., przeznaczonych w budżecie dla gimnazyum słoweńskiego w Cylei. Niemcy oparli się, wzięli na kieł tak samo, jak biorą zawsze, ile razy chodzi o jakiekolwiek ulgi lub interesy ludności słowiańskiej w Austryi; tym razem jednak przegrali sprawę. Ta przegrana jest powolnym konaniem systemu centralistycznego, którego Austrya dotychczas pozbyć się nie może. Składa się ona z 16-u krajów różnej narodowości, rządzących się mniej więcej autonomicznie i zamiast prowadzić politykę wewnętrzną federacyjną, tj. bez barwy i dążeń państwowych narodowych, daje ustawicznie przewagę żywiołowi niemieckiemu, nie mającemu żadnych praw terytoryalnych, ani większości ilościowej.

Popycha ją ku temu tradycya polityki dawnej, kiedy Austrya stała na czele Rzeszy niemieckiej. Polityka ta zbankrutowała. Przekonano się, że centralizm austryacko-niemiecki nie ma żadnej podstawy istnienia w ustroju mniej lub więcej federacyjnym dzisiejszego państwa. A jednak niemcy nie mogą dotychczas zapomnieć o dawnej władzy i utrzymują się przy niej dzięki temu jeszcze, że tradycye domu Habsburgów z niemczyzną się łączą. Wychodzenie jednak ustawiczne na pierwszy plan nowych grup narodowościowych coraz mniej miejsca pozostawia niemcom w rządzie i przedstawicielstwie, tak że zmiana położenia w kierunku odwrotnym jest zupełnie możliwa. Niemcy doskonale to rozumieją i walczą o każdy posterunek, zdobyty przez narodowości słowiańskie. Cyleja była takim posterunkiem.

Upadek koalicyi wywołał pewien zwrot reakcyjny, który się zaznaczył mianowaniem gabinetu urzędniczego. Miłe złego początki, lecz koniec żałosny. Nie chcę bawić się w proroctwa polityczne, bo już nie jeden korospondent na tym punkcie kark skręcił; nie mogę jednak pominąć dwóch ważnych spraw, które po upadku koalicyi pozostały nierozwiązane: reforma wyborcza i podatkowa.

Pierwszej domagano się oddawna w Austryi, a koalicya przyjęła ją do swego programu. Miała ona być uskutecznioną za porozumieniem się stronnictw, należących do koalicyi. Porozumienie przyniosło w rezultacie to, że przeprowadzenie powszechnego, równego i bezpośredniego prawa głosowania odrazu stało się niemożebnem. Przeciwnie, w czasie rozpraw nad tym przedmiotem okazało się, że rząd był daleko postępowszy niż izba. Prze-

ciętno jej żądania uznawały wprawdzie zasadniczą potrzebę rozszerzenia prawa wyborczego, ale stały mocno przy tem, ażeby stanowisko polityczne stanów średnich o ile możności najmniej naruszyć. Taki pogląd dawał niejako pewność, że reforma będzie przeprowadzoną w ramach dotychczasowego systemu reprezentacyi interesów.

Komisya wyborcza z łona posłów Izby Rady państwa, wypracowanie projektu powierzyła subkomitetowi. Piszę o tem dlatego jedynie, że najczynniejszym członkiem owego subkomitetu i projektodawcą był poseł z Galicyi dr. T. Rutowski, oraz dlatego, ażeby pokazać czytelnikom jak niesłychanie mało ona zyskuje na reformie.

Zasadniczą cechą projektu jest zadośćuczynienie dwom kardynalnym punktom: z jednej strony miano dać prawo głosowania robotnikom, z drugiej uwzględnić grupę najmniej opodatkowanych, która dotychczas w zupełności była pozbawioną prawa głosowania. W ten sposób projekt stwarza dwie nowe grupy wyborców: pierwsza obejmuje najmniej opodatkowanych w mieście i na wsi, druga stan robotniczy; pierwsza jest właściwie poddziałem kuryi miast i gmin wiejskich, druga występuje jako kurya samodzielna, piąta z kolei. Drobno opodatkowanym przyznano ogółem 34 mandaty, robotnikom 13, tak że liczba deputowanych podniesie się z 353 na 400.

Przy rozdzielaniu mandatów z góry postanowiono, że każdy teraz otrzyma jednego nowego posła i na to pójdzie 16, zatem pozostanie jeszcze 18 mandatów, które będą rozdzielone w stosunku do wyborców. W jaki sposób stosunek ten się ureguluje — nad tem zastanawiać się nie będę; dodam tylko, że wyborcami nowej kuryi robotniczej są wogóle robotnicy przemysłowi, rękodzielnicy, oraz górnicy, którzy przynajmniej od dwóch lat należą do kasy chorych.

Z 47-iu nowych posłów będzie wybranych 34-ch w dotychczasowych kuryach, a 13-u powoła nowa klasa. Przy takiej regulacyi Galicya otrzyma dwóch posłów z miast i sześciu z gmin wiejskich, z kuryi zaś robotniczej, z Galicyi i Bukowiny, będzie tylko jeden. Oto zdobycze, które prawdopodobnie spłyną na nas z powodu nowego projektu reformy wyborczej. Dotychczasowy stan rzeczy, który wiele pozostawiał do życzenia — prawie bez zmiany. Reprezentacya interesów krajowych w Radzie państwa będzie, jak dotychczas w ręku tych, którzy pozwolą lub nakażą się wybrać. Bardzo często się zdarza, że między wyborcami a posłami nie ma żadnej łączności, a tembardziej wspólności interesów. Większość posłów należy do tak zwanych „niemych,“ gdyż głosu wcale nie zabierają, a mała grupa prawników robi na szeroką skalę własne interesy.

Skoro już o przedstawicielstwie mowa, to interesy galicyjskie w Radzie państwa nie są prawie wcale reprezentowane, posłowie służą tylko do rachunku *Koła*, które na swoją rękę i odpowiedzialność prowadzi nie politykę kraju, lecz stronnictwa stańczykowskiego. Dużo bardzo sił zużywa ono dla utrzymania swego stanowiska materyalnego i moralnego, a dla korzyści stanowisk indywidualnych poświęca prawa konstytucyjne. Ponieważ projekt reformy wyborczej, wniesiony teraz przez Rutowskiego, żadnych zasadniczych zmian w systemie wyborów nie przynosi, wolno przypuszczać, że nic na tym projekcie nie zyskamy, gdyż jeden poseł z kuryi robotniczej nigdy na szali nie zaważy.

Co do zmiany podatku, pozostaje ona także dotychczas w zawieszeniu. Reformy tej, a względnie zniżenia dotychczasowej skali, domagają się wszyscy nader usilnie; kto zna nędzę Galicyi — nie będzie się bynajmniej dziwił.

Wydział krajowy wniósł w tej sprawie memoryał do Koła w Wiedniu, z prośbą o poparcie. W kraju naszym — są słowa podania — na stosunki rolnicze ujemnie oddziaływa jeszcze obok przyczyn ogólnych szereg innych, bezpośrednio nasze położenie charakteryzujących: brak dróg wodnych, najtańszego dla surowych produktów środka przewozowego; niedostateczna ilość kolei, wysokie taryfy transportowe, brak melioracyj rolnych, mniej niż gdzieindziej wydatna praca robotnika, wreszcie prawie coroczne większe lub mniejsze klęski powodzi.

Dosadnie ilustrują te stosunki mnożące się zaległości podatkowe, rosnące odłużenie ziemi, zanik powolny średniej własności lub przechodzenie jej w obce ręce i nędza chłopa, opuszczającego tysiącami ziemię rodzinną.

Są to najważniejsze momenty, charakteryzujące stan własności ziemskiej wogóle — zarówno wielkiej, średniej, jak i małej włościańskiej. Jednem słowem bogactwo kraju nie wzrasta, lecz zmniejsza się rok rocznie, lub podział jego staje się coraz bardziej nieproporcyonalny. Siła podatkowa kraju ubożeje — a jakże się zachowuje wobec tego państwo?

Skarb jego posiada bardzo znaczne, z każdym rokiem rosnące zapasy kasowe; według ostatniego sprawozdania jest to poważna suma — 215,241,775 złr. w gotówce i 76,489,596 złr. w obligacyach, wchodzących w skład różnych funduszów specyalnych. Zapasy te powstały stąd, że dochody są stale wyższe od wydatków państwowych, objętych budżetem. Nadwyżki te rok rocznie, zacząwszy od r. 1890 tworzyły sumę 30 — 33 milionów zł. reń., a w r. 1893 suma dosięgła wysokości 46,650,951 złr.

Gromadzenie zapasów pieniężnych przez rząd. jest rzeczą bardzo pożądaną, lecz nie tak forsownie i nie w tym stopniu, ażeby się działa krzywda najważniejszym interesom ludności i państwa. Wiadomo, że w Austryi, a szczególnie w Galicyi, rozkład podatków pomiędzy różne klasy jest niesprawiedliwy i nieproporcyonalny. Gdyby można scharakteryzować ten system w kilku słowach, powiedziałbym, że podatek w Austryi pobiera się w stosunku odwrotnie proporcyonalnym do kapitału i posiadanej własności, czyli innemi słowy — najwyższe podatki płacą ci, którzy najmniej posiadają. W tem leży źródło nędzy i brak wszelkiej przedsiębiorczości w niższych warstwach mieszkańców Galicyi.

Wobec tej niezaprzeczonej biedy, panującej u nas, wobec polityki ekonomicznej, jaką rząd niemiecki Austryi różnojęzycznej prowadzi względem nas pod hasłem sprzyjania, — każda przechwałka nasza ma gorzkie brzmienie. Są ludzie łatwowierni, zadowoleni z siebie, którzy słowa biorą za czyny, pragnienia za rzeczywistość, daleki cel za prawdę spełnioną. Jest to samołudzenie się tem gorsze, że wobec niezaprzeczonych najlepszych chęci przynosi smutne rezultaty.

*Cho.*

## Z NAD NEWY.

Wystawa drukarska. — Rezultaty.

Zbliżając się po długiem milczeniu do progów redakcyi *Prawdy* z artykułem o „Pierwszej wszechrosyjskiej wystawie drukarskiej,“ nie śmiem zapukać do jej wrót i natomiast z całą skruchą oburącz biję po swojej piersi. Wiem, że grzech mojego milczenia nie będzie mi policzony, bo czytelnicy zapewne nie zauważyli nawet skromnej mojej nieobecności, ale obawiam się innej winy — śmiertelnego grzechu dziennikarzy: „nieaktualności.“ Widywałem reporterów, biegnących z wywieszonym językiem do drukarni, dla podania notatki o tem, że Walenty R. zadał ranę Rochowi P. w piwiarni przy ul. Bednarskiej — i wiem, co to jest pośpiech w dostarczaniu wiadomości. Pokazywano mi pod dyskrecyą w redakcyach gotowe do druku nekrologi kwitnących jeszcze zdrowiem znakomitych mężów Europy — i rozumiem, co to jest szybkość uczuć w dziennikarstwie. Pojmuję również doskonale, że informacya o tem, iż „denat niewiadomego nazwiska pozbawił się życia, a śledztwo co do wykrycia osoby samobójcy jest w toku,“ podana w dwa dni po wypadku nie rozrzewni już czytelnika i stanowić będzie plamę na honorze redakcyi. I po tem wszystkiem, o zgrozo, ośmielam się pisać o wystawie drukarskiej w Petersburgu dopiero w chwili, gdy milknie jękliwy warkot wystawionych na niej olbrzymich maszyn drukarskich, gdy zatrzymują się potężne motory gazowe, naftowe, elektryczne, gdy niezliczone druki powracają do miejsc swego pochodzenia, gdy zdzierają się estetyczne draperye z chorągwi, burzą się misterne piramidy i kioski z książek, gdy młot robotnika pracuje nad tem, aby zwalić to, co niedawno postawił ku uciesze profana, nauce specyalisty i na chwałę przedziwnego postępu przemysłu drukarskiego.

Jeżeli z mojego opóźnienia mam zdać przed czytelnikiem „rachunek sumienia częściowy,“ jak powiedziane jest pod nr. 6 w wydanym przez Orgelbranda „Podręczniku wakacyjnym dla seminarzystów i młodych kapłanów,“ to powiem, że nie posiadam zaleconej w tym podręczniku cnoty, przepisanej w nim na każdy dzień pod nr. 1: „wstać o godzinie, naznaczonej przez dyrektora,“ nawet gdy tym dyrektorem jest żądna informacyj publiczność. Lubię, na wzór Goethego, spoglądać z historycznego oddalenia na wypadki dnia, nie mówić o tem, o czem jeszcze mówią wszyscy i mówić o tem, o czem już nikt nie mówi; wreszcie zgadzam się z Dyogenesem, który słysząc o wspaniałem przyjęciu, okazywanem Kallistenesowi przez Aleksandra Wielkiego, wykrzyknął: „nieszczęśliwy! musi śniadać i obiadować w godzinach, określonych przez gospodarza.“

Jeżeli więc czytelnika nie zrazi nieco wystygły mój entuzyazm, to ośmielę się podać mu obecnie wiązankę luźnych wrażeń i uwag z powodu zamykającej się już wystawy drukarskiej; na dokładną i szeroką charakterystykę ani nie mogę, ani chcę się zdobyć: nie mogę, gdyż wobec rozmiarów wystawy, zajmującej do dziesięciu ogromnych sal w „Solianym Gorodku“ i zakresu jej, obejmującego typografię, litografię, chromolitografię, fototypię, rytownictwo, metalografię, heliografię, introligatorstwo, fabrykacyę papieru, farb drukarskich, pras, motorów, maszyn, historyę drukarstwa, wzory i rysunki artystyczne itp.—musiałbym przepisywać chyba artykuły specyalistów na dziesiątkach szpalt; nie chcę, bo jestem tylko profanem, otwierającym usta z podziwu na widok wspaniałych machin drukarskich, a nie suchym katalogiem wystawowym lub reklamistą wystawców.

Gdyby jakimś cudem stary Gutenberg mógł powstać z grobu — on, który dumny był, że w przeciągu lat *pięciu* zdołał wydrukować jeden egzemplarz Biblii — a otrząsnąwszy się z długiego snu, przywędrował z kościoła św. Franciszka w Moguncyi nad brzegi Newy, przeszedł się po wystawie drukarskiej, niewątpliwie nie poznałby owej „tajemnej sztuki,“ której ojcem mianuje go potomność. Nie uwierzyłby, że naturalna czterowiekowa ewolucya zdolną była zakląć w rzeczywistość to, o czem on nawet zamarzyć by nie potrafił. Poznałby zapewne w *oddziale histo-*

*ryczném* wystawy typ starodawnej drukarni — w owej pracowni o kratowanych ukośnie gotyckich okienkach; uśmiechnąłby się przyjaźnie na widok drewnianej machiny, przypominającej oku obecnego postrzegacza skromną prasę ubogiego introligatora w małem miasteczku; przyznałby prawego syna w zamieszczonym we wgłębieniu owej pracowni manekinie brodatego mnicha, przedstawiającego pierwszego drukarza państwa Moskiewskiego, „pieczatnika“ Iwana Fiodorowa (koniec XVI w.); ucieszyłby się, oglądając w komnatce średniowiecznego typu, o nizkiem w kształcie kopuły sklepieniu, bogate zbiory starodawnych druków o grubych, nierównych, czerniejących mocno literach, wtłoczonych w żółty, zapylony pergamin. Ale gdyby mu następnie pokazano pracującą z chrapliwem warkotaniem olbrzymią rotacyjną machinę augsburską, wprowadzaną w ruch przez potężny motor elektryczny, gdyby widział, jak z grubego walca papieru, ważącego blizko 20 pudów, odwija się nieprzerwany biały pas papierowy, jak nawija się on około walców metalowych, pokrytych jakimiś niepochwytnymi dla oka w dalszym ciągu znakami, jak pas ten następnie szybko ciemnieje, wyglądając jak gdyby wstęga, zawalana sadzą i jak nareszcie u przeciwległego końca machiny dwa wachlarze równym ruchem odkładają co minutę 130 odciętych, zręcznie złożonych i pięknie zadrukowanych arkuszy pisma (*Niwy*), zapełnionego nadmiar mnóstwem ilustracyj, gdyby wiedział, że niezdolny jest sprostać zwyczajnem liczeniem wypadania z machiny tych ośmiu tysięcy arkuszy na godzinę, uląkłby się, nie uwierzyłby zgoła, że ma do czynienia z dziełem ludzkiem, przypuściłby raczej, że widzi wynalazek tych sił piekielnych — czarownic i dyabłów — które tak zawzięcie prześladowano w jego epoce. Napróżno staralibyśmy się przekonać go, że nie jest w zaczarowanym kraju, a tylko na pierwszej wszechrosyjskiej wystawie drukarskiej, napróżno prowadzilibyśmy go od machiny do machiny i dla mocy dowodu pokazywali na nich nieobce mu dźwiękiem niemieckie nazwiska fabrykantów miejscowych i przedstawicieli firm zagranicznych; oszołomionego cudami techniki nowoczesnej nie przekonałyby o naturalnym stopniowym rozwoju sztuki drukarskiej nawet zebrane z przedziwną starannością i umiejętnie w historycznym porządku ułożone w witrynach wzory druków, zaczynając od XV w. aż do dni dzisiejszych, zmieniające się z biegiem czasu na korzyść większej elegancyi (chociaż może nie większej trwałości), pod względem papieru, formatu wydawnictw, formy i wielkości czcionek itp. Rozwój sztuki drukarskiej mogli poglądowo poznać i zrozumieć wyprawieni w tym celu na wystawę na osobnym statku przez wspaniałomyślnych chlebodawców, właściciel drukarń w Helsingforsie, zecerzy fińscy, jako dzieci naszego czasu — oczywiście o ile nie stali się automatami, składającymi litery, jak ów cudownie szybki zecer petersburski, który podczas konkursu na wystawie w przeciągu 1½ godziny złożył 3,003 litery! Ale starożytny drukarz moguncki nie uwierzyłby, że potężna machina augsburska jest wytworem umysłu człowieka, zwłaszcza gdyby u jej stóp ujrzał owe dwunożne stworzenie, jako niewolnika żelaznego potwora, nie pojmującego złożonej pracy obsługiwanej przez się machiny i wykonywającego przy niej robotę stokroć mniej złożoną, niż ona. Sądziłby, że z niego żartujemy, że jeszcze chwila a postaramy się weń wmówić, iż człowiek obecny wszelką pracę myśli zastąpił pracą machin, że podobnie do drukarskich posiadamy w redakcyach machiny do pisania artykułów wstępnych, krytycznych, politycznych, a nawet i nowelek, oraz że ludzkość, wymyśliwszy machiny, zajęła się tylko jedną robotą — smarowaniem ich od czasu do czasu, aby nie ustawały w ruchu i nie rdzewiały w spoczynku.

Ale spostrzegam się, że moja nieaktualność przechodzi granice przyzwoitości. Opuszczam tedy ogólny oddział historyczny z jego drukami, odbijanymi dla Moskwy w XV w. — w Krakowie, Czarnogórzu i Wenecyi, w XVI i XVII — częściowo w granicach dawnej Rzeczpospolitej polskiej, z jego cyrylickimi zakrętasami i graždanką, wprowadzoną w Rosyi przez Piotra W., a stanowiącą ważny postęp.

Nie zatrzymuję się nawet w specyalnym „oddziale historycznym polskim,“ chociaż wzrok mój nęci tam niemal najstarsza książka polska: „Żywot Pana naszego Jezu Krista“ Baltazara specia z r. 1522, zbiór portretów Mickiewicza, „Uniwersał polski Piotra Wielkiego“ z r. 1711, w którym Car zwie się jeszcze „Czar,“ zaś „sołtan“ turecki mianuje się „Jeho Wieliczenstwom,“ a obywatelom polskim nakazano jest przez Piotra W. pod groźą zapłaty *in dublo* „ufelicitować prowiant“ dla 12,000 żołnierzy ruskich, zaciągniętych w służbę Rzeczpospolitej dla wycieczki do Pomoranii; ledwie okiem rzucam jeszcze w tym oddziale na liczne pisma wileńskie, jako to: „Wanda,“ „Tygodnik płci pięknej i literaturze poświęcony“ z r. 1820 i „Sybilla nadwiślańska“ z r. 1821 — wszystko nieboszczki, zmarłe bezpotomnie. Uśmiecham się wreszcie sympatycznie do *Nowin*, bardzo już starych, i wymijam szybko znacznie świeższe *Ziarno*.

Przechodzę do kwestyi chwili: rezultatów wystawy i rozdziału nagród konkursowych. Wyniki świetne: zdołała ona obejść się bez zapomogi rządowej, otrzymała znaczny dochód za bilety wejścia i miejsca pod okazy, w przeciągu kilku dni zwiedziły ją dziesiątki tysięcy osób i nawet zazwyczaj cierpka w sądach o przemyśle rosyjskim prasa niemiecka przyznała, że w Rosyi można nauczyć się sztuki drukarskiej; za dodatni rezultat wystawy uważam to, że zwiedził ją za osobnymi biletami dziesiątek tysięcy specyalistów, zecerów, drukarzy. Rezultat dla wystawców — niezgorszy ogółem przyznano 150 nagród, w tej liczbie 11 wielkich i 5 małych medali złotych, 36 srebrnych, 51 bronzowych, 27 listów pochwalnych. Polski przemysł drukarski, księgarski, papierowy itp., stanowiący na wystawie oddział specyalny *), ma prawo być dumnym. Jakkolwiek pod względem estetyki ustępował wielkim firmom miejscowym, co do wartości wyrobów stanął wysoko: procentowy stosunek nagród stanowczo wypadł na jego korzyść. Byłem zachwycony, ale i zdumiony zarazem, gdy na każdym kroku, niemal na każdym przedmiocie, odczytywałem: medal srebrny, medal bronzowy. Wszystkie wielkie nasze firmy księgarskie i wydawnicze zostały odznaczone nagrodami **). W oddziale polskim jest ich tak wiele, że *Kuryer warszawski*, reprezentowany na wystawie przez kiosk, ustawiony na stereotypach z walców machiny rotacyjnej, zapełniony rocznikami z różnych epok swojego istnienia, może się uważać za odznaczonego tem, iż został pominięty. Nawet wobec nieznacznej ilości wielkich medalów złotych (11), jeden dostał się polakom, mianowicie papierni „Soczewka,“ jako „jedynej w Rosyi fabryce prywatnej, która wprowadziła u siebie naukową kontrolę produkcyi za pomocą systematycznego próbowania wytworów.“ Jest to laur zasłużony i nie pierwszy, gdyż fabryka ta otrzymała już wielki medal złoty na wystawie paryskiej. Z niewielkiej ilości małych medali złotych jeden przypadł również polakom, mianowicie Towarzystwu mirkowskiemu za papier listowy. Słowem, papier mamy znakomity, kwestya — na jaki obracamy go użytek.

Najgorszy rezultat miała wystawa dla sędziów konkursowych. Chociaż skład sądu stanowili przeważnie profesorowie i nauczyciele wyższych zakładów naukowych, chociaż pracowali oni sumiennie i cierpliwie, odbyli przeszło sto posiedzeń, przeznaczone do rozdania nagrody rozdzielili szczegółowo motywując swoje wyroki — cała niemal prasa miejscowa, nawet nie podtrzymana przez zadowolonych wystawców, nazajutrz po ogłoszeniu wyroków rozpoczęła formalną kanonadę przeciw sędziom konkursowym. Rozumiałbym, gdyby wykazywano spokojnie pomyłki, bo tych niepodobna się było ustrzedz wobec ogromu wystawy, trudności porównywania zniwelowanych przez współzawodnictwo wyrobów, zwłaszcza gdy na wystawę każdy przysłał, co miał najlepszego, a wreszcie wobec ciężkiego zadania nie poddania się estetyce ekspozycyi przy lichości wyrobów. Ale sąd konkursowy spotkał się ze srogim zarzutem braku dobrej woli, kumania się z nagrodzonymi, kierowania się względami protekcyjności.

Czytając w jednym z dzienników pełną godności ale i zgoryczenia odpowiedź prezesa komisyi rzeczoznawców *) na owe zarzuty brukowych świstków, prosiłem nieba, aby mnie nigdy nie uczyniły sędzią konkursowym, wystawowym itp. Przynajmniej zachowuję za sobą nieocenione prawo mylenia się, nie podlegając zarzutowi złej woli.

* * *

*P. S.* Wystawa drukarska zrodziła nową myśl. Ponieważ obliczono, że obecnie używany papier maszynowy przy elegancyi i taniości swojej nie posiada długowieczności i grozi wydawanym dziś książkom rozsypaniem się w proch po latach najwyżej siedemdziesięciu, rosyjskie Towarzystwo techniczne w interesie autorów postanowiło wystąpić do rządu z wnioskiem, aby na przyszłość wydawcy obowiązani byli egzemplarze, składane w komitecie cenzury, odbijać na papierze czerpanym, jako znacznie trwalszym od używanego ogólnie. Tym sposobem autorowie, których nikt przedrukowywać nigdy nie będzie, zyskają na równi z wiecznie poczytnymi nieśmiertelność — przynajmniej papierową, w bibliotekach publicznych.

*Leo Belmont.*

# WAKACYE.

(ROZMYŚLANIA).

Byłem tym szczęśliwym, którego warunki pozwoliły wychylić się na cztery tygodnie po za mury miejskie, skosztować różnych gatunków świeżego powietrza, to z domieszką aromatycznej woni kwiatów łącznych, to z odurzającym zapachem akacyi, nasycać się niem bezustannie pod niebem odkrytem, czy to na spiekocie słonecznej, czy w cieniu cyprysów i mirtów; chwytać pełną piersią wichry stepowe, rozkoszować się chłodnym podmuchem ze szczytów gorskich, wreszcie z prawdziwą żarłocznością pochłaniać ten nieporównany nektar zdrowia, oczyszczony przez najwspanialszy i najlepszy filtr przyrody — pełne morze. Po takiej uczcie jakże strasznym wydał mi się w dzień upalny wjazd do Warszawy, jej ulice, wypełnione na wysokość kamienic prawie nieruchomą kurzawą, opary rynsztokowe, niewypowiedziane znuże-

*) „Oddział polski“ w ogólnym, prócz wspominanego wyżej „historycznego polskiego“ w sekcyi historycznej.

**) Gebethner i Wolff — wielki medal srebrny, T. Paprocki — mały sr., S. Orgelbranda Synowie — mały medal sr., E. Skiwski — mały medal sr. i t. d.

*) Prof. Koturnickiego.

nie, ospałość na bladych, połyskujących od potu twarzach przechodniów! Nigdy wrażliwość i uwaga nie są tak czułe, jak w chwili ponownego zetknięcia się z życiem miejskiem. To, po czem w zwykłym trybie wzrok przebiega obojętnie lub machinalnie, czego umysł nie roztrząsa, to wszystko ciśnie się, tłoczy pod obserwacyę przybysza powakacyjnego.

To też nigdy bardziej, niż świeżo po powrocie nie przykuły mojej uwagi twarzyczki dziatwy podwórzowej, te drobne gromadki przybramne i przyrynsztokowe, młode kobiety z suteren o pofałdowanych pożółkłych twarzach i czołach, z niemowlętami o twarzyczkach woskowych, z piętnem dziwnie starczem, jak gdyby odbiciem przedwcześnie zwiędłego oblicza matki. Nie wiem, czy kiedy robiono u nas pomiary antropometryczne tego maleństwa, czy porównywano wagę i wzrost niemowląt urodzonych w dobrych warunkach i w suterenach lub na poddaszach. Byłyby to niezmiernie ciekawe i pouczające doświadczenia. Powierzchownie uderza jedna charakterystyczna cecha: nadzwyczajnie drobne rozmiary tych ciałek powołanych do życia, których główki nie są chyba większe od głowy średniego kota. Przyjrzyjmy się tym istotkom noszonym lub poruszającym się samodzielnie, pełzającym po bruku i śmietnikach; wszystkie one mają jednakowe cechy: bladość z sinawym lub zielonkawym odcieniem, jak łodygi bezchlorofilowe, przypadkowo wyrastające w piwnicach. To jest najnieszczęśliwsza kategorya dziatwy, której nawet kolonie letnie nie mogą przyjść z pomocą. A jednak i ona ma chwile wesolsze, kiedy krew żywiej krąży, twarzyczka się uśmiecha do słońca, świecącego z po za murów. To jej wakacye na bruku przed domem, na chodnikach i podwórzach.

Ale i dzieci rodzin średniozamożnych lub jako tako dostatnich nie cieszą się pełnią warunków zdrowotnych. Ci, których stać na letnie mieszkania, zabierają swój drobiazg na piaski i zarośla sosnowe. Ale znaczna większość mieszkańców Warszawy nawet marzyć o tem nie może, więc dziatwa przez całe lato, skwarne i duszne, wędruje w wózkach lub na rękach do ogrodu Saskiego, gdzie powietrze nie zawsze bywa lepsze, niż na ciasnych i ruchliwych ulicach, a tumany kurzu nie mniejsze, niż na bardzo ożywionych drogach wiejskich. Lecz i ten jedyny szmat zadrzewiony w środku miasta jest przystępny tylko dla dzielnic przyległych. Dziatwa dalej zamieszkała odbywa spacery na ulicy i wraca do domu odurzona gwarem, apatyczna, rozkapryszona ze zbytku wrażeń przykrych i chyba nie bardzo korzystnych dla systemu nerwowego organizmów niemowlęcych.

Takie są warunki rozwoju fizycznego przyszłych pokoleń w mieście. Przez ostatnich lat kilkanaście legło w Warszawie pod toporem mnóstwo ogrodów prywatnych, a na ich miejscu wyrosły wspaniałe kamienice trzy i czteropiętrowe. Pozostałe dotąd śród murów drobne oazy zielone zajęły jadłodajnie, a trochę większe przestrzenie stoją przeważnie bez użytku i czekają na przedsiębiorcę, który je zgładzi dla wybudowania domu. Między innymi jest ogród duży, ładny, obfity w zieleń na rogu Marszałkowskiej i Hożej. Byłoby to właśnie najodpowiedniejsze ustronie na urządzenie ogrodu dla dzieci. Ale, niestety! dni jego podobno już policzone. Poszukawszy dobrze, można jeszcze znaleźć kilka takich kawałków niewytrzebionych, zacisznych i posiadających względnie świeże powietrze. Ocalenie ich i oddanie na użytek publiczny byłoby znacznie większą zasługą, niż urządzanie skwerów, a raczej trawników z wazonami na pierwszorzędnych ulicach, lub sadzenie drzewek wiecznie usychających. Polecamy to uwadze i poczuciu obywatelskiemu komitetu plantacyjnego. Nie znam miasta tak ubogiego w ogrody, jak Warszawa. W innych wielkich rojowiskach ludzkich na każdym kroku spotkać można gęste, obszerne "alwary, skwery, zupełnie oddzielające swe wnętrze od ulicy gęstą ścianą drzew lub krzewów wysokich, nadto mnóstwo domów prywatnych posiada swe własne ogrody, starannie utrzymywane. To też dziatwa tam jest żwawsza i zdrowsza, a i dorośli mają gdzie odetchnąć i pomimo obowiązków, przykuwających do miasta, nie znoszą w okresie wakacyjnym takich katuszy, jak pracownicy warszawscy, oczywiście z wyjątkiem tych z krwi i kości mieszczuchów, którzy nie rozumieją wcale dobrodziejstw i rozkoszy wsi i przestrzeni szerokich. Podziwiam tych kretów, których więcej pociąga duszna piwiarnia, niż świeże powietrze. Wyobrażają oni sobie, że ich organizm na tem nie cierpi, że przeciwnie, chorowaliby bez woni dymnych zakładów piwodajnych i wszelkich „ogródków." Niegdyś w dzieciństwie widziałem ptaszka, trzymanego przez całą zimę w klatce. Wywodził smutne trele, ale przytem potłuściał, a gdy na wiosnę wyniesiono do ogrodu i otworzono klatkę, wyleciał leniwie, usiadł na poblizkiem drzewku i po kilku minutach wrócił do swej przymusowej siedziby. Ptaszek ten zupełnie mi przypomina typowego mieszczucha, który się przystosował do swego kretowiska i wyobraża sobie, że jest mu w niem zupełnie dobrze. Bądź co bądź, są to ciekawe i charakterystyczne typy. — Co w panu podtrzymuje energię i humor? — pytałem jednego z nich. — Trochę alkoholu i rozrywki przy jego zażywaniu — odrzekł mi otwarcie. — Ileż pan wydaje rocznie na ten cudowny środek? — Mniej więcej około 150 rubli. — Ładna sumka! Można za nią śliczną wycieczkę odbyć i zaczerpnąć sił na cały rok. — Furda, panie! Wolę potrochu, ale codzień się krzepić." Wobec takiej odpowiedzi nie uważałem już za stosowne mówić o znaczeniu podróży pod względem intelektualnym.

Tego rodzaju typy nie stanowią wszakże większości. Liczne rzesze ludzi, szczególnie przytłoczonych pracą, czują i uświadamiają ciężar miasta podczas miesięcy letnich. Znaczna liczba tych, którym środki i obowiązki pozwalają, rwie się po za mury do szerszych przestrzeni, ale niestety, mało kto z nich umie z podróży korzystać w całem znaczeniu tego słowa. Warunki życiowe i kulturalne nie zrobiły z nas rzesz ruchliwych *celowo* i *pożytecznie*. W podróży jesteśmy najniepraktyczniejszymi pod słońcem marnotrawcami i rzecz dziwna, że dotychczas nie wzięły nas całkowicie w opiekę przedsiębiorstwa podróżnicze, obwożące ciekawych i naiwnych po świecie w ten sposób, jak lokaje w galeryach obrazów pokazują i objaśniają dzieła sztuki. Prawda, były próby werbowania turystów na wystawę do Chicago i kto tym przewodnikom zaufał, wydał dwa razy więcej, niż podróżnik samodzielny i mniej od niego skorzystał. W ostatnich czasach tworzą się u nas grupy osób, wędrujących po kraju i to jest jedyny objaw dodatni. Większość podróżuje w ten sposób, jak nowozaciężny żołnierz, który nie wie, kędy jedzie, co za kraj i miasta widzi. Wielu „bywalców" pytałem o różne osobliwości świata i jakże byłem zawstydzony za nich, gdy nie umieli odpowiedzieć na moje pytania. — Powiedz mi pan co o Berlinie, Monachium. — Doskonałe piwo! — O Wiedniu.— Śliczne bawarki!— O Paryżu. — Wyborne sery! — O Wrocławiu. — Pyszna kawa! — O Londynie.— Wyśmienite befsztyki! — Czasem opowiadają więcej: ale takie herezye, że gdyby nie pewne dowody, iż byli w danym kraju i mieście, możnaby ich posądzić o najbezczelniejszą blagę. Potrafią oni podczas pięknej pogody przespać wschód słońca na morzu, jeden z najwspanialszych widoków naszego globu; nie spojrzawszy w okno wagonu, przegawędzić ze współpasażerami cały przejazd przez góry; sześciogodzinny postój statku w porcie przesiedzieć w winiarni, zamiast zwiedzić miasto i jego osobliwości. Ludziom tym nie może się pomieścić w głowie, że podróż pożyteczna wymaga rzetelnej pracy i uprzednich studyów, już nie mówię o sporym zasobie inteligencyi i darze spostrzegawczym. Takim zamiast wałęsać się po świecie, tracić czas i pieniądze, szczerze radzę spędzać lato na wsi, kąpać się, jeść owoce, chodzić dużo i używać wszelkich rozrywek hygienicznych na świeżem powietrzu. Z tego rodzaju wakacyj stokroć większą korzyść odniosą.

Jest jeszcze jeden czynnik, wpływający na jałowość podróży lub nawet uniemożliwiający ją zupełnie. Jaki? — Wstyd, doprawdy, powiedzieć: brak znajomości... geografii! Czytelnikom może się to wydać nieprawdopodobnem, a jednak faktem jest, że znaczna część naszego społeczeństwa, zaliczająca się do „inteligencyi," nie umie geografii, pomimo że jej się uczyła w szkołach. Dużo spotykałem takich, którzy nie mogą odróżnić Nowomińska od Mińska lub Pińska, Jałty od Bałty, Widawy od Libawy, Dniepru od Dniestru, nie mają pojęcia o przestrzeniach, odległościach i kierunkach. Zresztą zasługują oni na pobłażanie wobec tego, że nawet niektóre pisma codzienne, jak tego mieliśmy świeże przykłady, nie grzeszą większą znajomością rzeczy w tej mierze. Natomiast łatwiej mogą się oryentować we wszelkich *badach* i *hofach*. To też nietylko chwalić, ale i popierać trzeba wycieczki zbiorowe po kraju, jako poglądową metodę, zgodną przytem najzupełniej z wymaganiami racyonalnej pedagogii, zalecającej zaczynanie nauki geografii od najbliższego otoczenia: własnej wsi, miasta, kraju itd.

Przed estetyczną i kształcącą stroną różnych wycieczek letnich, należy zawsze stawiać na pierwszym planie ich znaczenie hygieniczne. Posłuchajmy, co o tem mówi dr. Otto Dornblüth: „Szczególniejsza wartość wakacyi polega na tem, że nietylko pozwalają na jednorazowe wytchnienie, lecz i na zupełne usunięcie umysłu ze zwykłego zakresu myśli, czego jeden dzień zdziałać nie może. Temu przeniesieniu na inne tory myślowe szczególnie sprzyja zmiana miejsca, co wszakże możliwem jest tylko przy nieco dłuższych wakacyach. W rzeczy samej nic tak dobrze nie orzeźwia zmęczonego mózgu i nowych sił nie dostarcza, jak kilkotygodniowy pobyt w okolicy, której przyrodzone piękności mile przez czas dłuższy umysł zajmują, a ponętami swego krajobrazu zachęcają do coraz nowych przechadzek, wykonywanych nie jako obowiązek i praca, lecz pożyteczny, rozkoszny dla ciała i duszy ruch na świeżem powietrzu. Łańcuchy gór, widoki leśne i gorzyste, wybrzeża morskie w ich niewyczerpanej rozmaitości, dają najróżnorodniejszym wymaganiom dosyć pobudek, odpoczynek a razem i zachętę, dostarczają towarzystwa lub samotności w dowolnem stopniowaniu."

Co jednak jest łatwe dla mieszkańca zachodu Europy, częstokroć bywa trudne dla nas. Korzystanie z widoków morskich i górskich połączone jest z wielu przeszkodami. Dla tych więc, którzy nie są wyczerpani nerwowo tak dalece, że aż trzeba się ratować różnorodnością wrażeń, widokami wspaniałych krajobrazów, pożądane byłyby wakacye zwyczajne — wiejskie; ale i te są przystępne stosunkowo niewielkiej garstce pracowników miejskich. Przedewszystkiem w znacznej większości nie mają oni urlopów. Nasze różne instytucye nie rozumieją jeszcze, jaki może pożytek płynąć dla nich samych z dorocznego wypoczynku urzędników. Zresztą dzieje się to samo i za granicą. Słusznie dr. Dornblüth potępia taki stan rzeczy i twier-

dzi, że urlopów nie należy uważać za nagrodę lub gratyfikacyę, lecz jako proste konieczne urządzenie. „Instytucye — mówi on — których urzędnicy pełnią szczególnie męczącą służbę umysłową, zapominają o tym hygienicznym punkcie widzenia i wydają urlop dopiero w razie choroby. Takie postępowanie mści się czasem na całej machineryi, gdyż odmawianie corocznego wytchnienia zmniejsza sprawność i wyczerpuje zdrowie pracownika, a stąd wypływa mniejszy rezultat pracy i wcześniejsze udzielanie emerytury."

Takie obowiązkowe urlopy doroczne może z czasem będą powszechnie uznane za jeden z zasadniczych warunków hygieny społecznej, a stąd — produkcyjności pracy. Ale na to trzeba zapewne tak długo czekać, jak na ideał udogodnień komunikacyjnych: zniesienie opłat za przejazdy, a natomiast odpowiednie opodatkowanie ludności. Wtedy podróże wakacyjne będą nietylko środkiem zdrowotnym lecz i wysoce kulturalnym, pobudzającym zarówno energię fizyczną, jak i duchową.

*Zenon Pietkiewicz.*

# PAMIĘTNIK.

### Susza.

Klimat nasz jest wiernym awanturnikiem, posiada szalony temperament, niepozwalający mu utrzymywać się w żadnych stałych granicach i przerzucający go ciągle w ostateczności. Albo mamy takie śniegi, że chaty wiejskie muszą się z nich codziennie odgrzebywać, albo też cała zima przejdzie po niezabielonych polach. Albo deszcz leje, jak gdyby niebo było rzeczywiście „morzem wklęsłem," albo skwar przez całe miesiące wysusza ostatnie krople wilgoci. Rok bieżący zesłał nam wielkie upały. Jakkolwiek są one bardzo przykre dla wszelkiej skóry człowieczej, najboleśniej jednak odczuwa je skóra rolnika. Podobno oziminy, które zima zasiliła obfitym opadem śniegów, przedstawiają się wszędzie nieźle. Natomiast jarzyny, zasiane podczas suszy i zabite lub zmęczone jej wpływem, częścią wyginęły całkowicie, częścią obiecują plony bardzo liche. Ze wszystkich okolic kraju nadchodzą pod tym względem bardzo złe wieści. W niektórych nie spadł od wiosny ani jeden większy deszcz, w innych — był zaledwie jeden lub dwa — krótkotrwałe. Prawdopodobnie największa klęska dotknie plantatorów buraków; po przymusowem ograniczeniu produkcyi i zniżeniu cen przez cukrownie będą jeszcze musieli znieść skutki nieurodzaju. Są oni w daleko gorszem położeniu, niż producenci zboża, gdyż mają ceny z góry określone, podczas gdy ostatni ubytek w plonach mogą sobie wynagrodzić zwyżką cen. Hodowla owoców nie stanowi równie ważnej gałęzi wytwórczości naszej, więc jej straty spadają na szalę dobrobytu mniejszym ciężarem: ale i w tej dziedzinie zapisać trzeba uszczerbek. Obfitemu, niemal wspaniałemu kwitnieniu nie odpowiada ani w części plon, a przytem niezwykle rozmnożone owady poczyniły wielkie spustoszenia. Tak więc, podczas gdy my w mieście tylko się pocimy, na polach, łąkach i w sadach ginie praca milionów ludzi i rozwiewają się ich nadzieje.

### Orgia gry.

Jak gdyby w żarze słońca jeszcze bardziej rozogniły się namiętności, orgia gry giełdowej doszła do tak gorszącego szału, że aż policya oczyszcza z jej uczestników cukiernię ogrodu Saskiego, która im służy za miejsce spotkań. Właściwie tu już nie chodzi o spekulacye giełdowe, ale o zwyczajny hazard, w którym miejsce kart, zastępują akcye. Gdy dawniej zawierano tranzakcye w przewidywaniu, że kurs rubla lub jakiegoś papieru wartościowego w pewnym terminie podniesie się lub spadnie o kilka procentów, to była dość skromna loterya. Ale gdy dziś bez żadnej przyczyny, skutkiem jedynie sztuczek szachrajskich, akcye jakiegoś zakładu przemysłowego podnoszą się lub spadają z dnia na dzień o 500 rs. na sztuce, gdy w tych operacyach nie chodzi o zgadywanie uzasadnionych zmian w kursie, lecz przedmiotem gry staje się pierwsza lepsza pozycya ceduły giełdowej, łatwo pojąć, że to jest hazard szwindlów. Zrozpaczona *Gazeta Losowań* pisze: „Wypadło nam być świadkami skandalów, jakich dotąd w Warszawie nie znano. Lecz nietylko w Warszawie, ale gdzieindziej, na wielkich rynkach świata, reprezentujących iloczyn pracy ekonomicznej setek milionów ludzi, orgie ażiotażowe w rodzaju tych, jakie kalają giełdę tutejszą, należą do zjawisk niebywałych. Rozpasane namiętności nie znają już granic." Wstrętne to zjawisko objaśnić łatwo. Zakaz spekulowania walutą ruską ściął tylko jeden łeb hydrze giełdowej, a pozostawił inne, oberwał koronę i łodygę trującego ziela, ale nie wyrwał jego korzeni, które obecnie tem bujniej wyrosły w innym kierunku. U nas zadużo jest ludzi, nielubiących pracy, znających ją zaledwie z imienia, a pragnących lekkiego zarobku i dorobku; ludzie ci nie łatwo dadzą się spędzić z pola, na którem żyją. Wyparci z jednej kryjówki, jak szczury chronią się do drugiej. Nie wolno im podnosić i strącać rubla, czynią to z „Lilpopami"; gdy stracą ten przedmiot hazardu, wynajdą sobie inny i tak będzie bez końca, bo ten rak nie uczepił się zewnątrz, ale jako choroba wyrósł w łonie społeczeństwa. Chcąc go wykroić, trzeba zapuścić nóż operacyjny bardzo głęboko.

### Lecznice ruchome.

Na posiedzeniu komitetu hygieny ludowej dr. Cetnarowicz podał wniosek urządzenia „okulistycznych oddziałów ruchomych," ze specyalistą na czele. Istotnie prowincya jest bardzo upośledzona pod względem pomocy lekarskiej w chorobach ocznych. Utarło się u nas przekonanie, że tylko ludzie, mający do czynienia z drukiem lub pismem, chorują na oczy, gdy w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Cierpienia te i ślepota szerzą się ogromnie śród włościan i wogóle mas robotniczych, co głównie zależy od rodzaju pracy fizycznej, pyłów gryzących, nadmiaru światła itd., a po zatem — od niehygienicznego zachowywania się przy owych cierpieniach. Wszelka zatem organizacya, mająca na celu pomoc, powinna być skwapliwie przyjęta, ale zarazem musi ona posiadać wszystkie zalety, umożliwiające skuteczne zastosowanie w praktyce. Wniosek dr. C. nie jest dość wyraźnie sformułowany. Jeżeli projektodawca ma na celu t. zw. „oddziały latające" okulistów, wysyłanych w pewnych odstępach czasu na prowincyę, to nadmieniamy, że wprowadzone w niektórych guberniach Cesarstwa, nie przyniosły one oczekiwanych rezultatów i że z tego względu jeszcze przed rokiem, czy nawet dawniej departament lekarski zalecił szereg następujących środków: skłonić ziemstwa i zarządy ziemskie do udzielania zapomóg tam, gdzie szerzą się choroby oczne; nadto przy szpitalach gubernialnych otworzyć oddziały dla tego rodzaju chorych. Wreszcie postanowiono oftalmologię zaliczyć do głównych przedmiotów wykładowych i wogóle zapowiedziano wiele ułatwień dla specyalizowania się w tej gałęzi wiedzy lekarskiej. Nie wiemy, na jakiej są odległości od czynu te projekty i postanowienia. To tylko pewna, że zastosowane w życiu przyniosłyby niewątpliwą korzyść. Projektowane przez d-ra C. oddziały ruchome, czy lecznice, mogą być połączone z wielkim kłopotem, a małą skutecznością. Okulistyczna pomoc na prowincyi powinna mieć stałe siedlisko, bo tylko w takim razie może być owocną.

### Po wyścigach.

Za mało ich było dla zaspokojenia rozigranej werwy sprawozdawców, więc oprócz rubryk: „Przed wyścigami," „Wyścigi," stworzyli jeszcze: „Po wyścigach," rozważają rezultaty, oceniają zalety różnych „faworytów" itd. Wobec tego niechże i mnie będzie wolno kilka słów nakreślić z wrażeń osobistych. Nie będąc nigdy ani zwolennikiem, ani uczestnikiem tych zabaw, dałem się przecież w sezonie bieżącym namówić po raz pierwszy. Poszedłem, aby osobiście dotknąć tego pulsu zbiorowego, zmierzyć gorączkę totalizatorską i sportową. Ślepy fatalizm widocznie chciał mię raz na zawsze zrazić do tego rodzaju rozrywek. Kiedy tysiące mruknęły zadowolone na widok ruszenia ośmiu wyścigowców, przed samą trybuną jeden koń padł i połamał nogi, a jeźdźca stratowano. Za chwilę tłumy ryczały i biły oklaski czworonożnemu bohaterowi, który pierwszy dobiegł do mety, nad nieprzytomnym dżokiejem lekarz pochylony szukał śladów życia, do okienek totalizatorskich cisnęły się tłumy, a nad koniem, dobitym przez weterynarza, pomrukiwano: „Jaka szkoda. Tysiąc rubli był ceniony!... Jaka szkoda! Stawiałem na niego!" I zgroza mię ogarnęła i wyrzut sumienia, żem się stał uczestnikiem mimowolnym tej zabawy i żal, żem stargał jedno ze złudzeń na temat ciągłego doskonalenia się uczuć ludzkich...

### Kaucye.

W tych dniach sąd handlowy ogłosił upadłość właściciela piekarni przy ul. Nowomiejskiej — Sudzińskiego. Długi jego wynoszą 40,000 rs., a wierzycielami są przeważnie ludzie biedni, którzy z całem zaufaniem powierzyli mu swój grosz drobny, ciężko zaoszczędzony. Między innymi jest kilka wdów pokrzywdzonych, które dla otrzymania filii z pieczywem, poskładały kaucye po rs. 100. Jakiś oficyalista złożył 500 rs. Ucierpieli również drobni handlarze mąki. Jest to tylko jeden szczegółik, przypadkowo przez sąd odsłonięty. Życie dostarcza takich faktów mnóstwo. Na kaucyach nędzarzy tuczą się aferzyści, spekulanci najpośledniejszego gatunku, wyzyskują łatwowierność, naiwność ubóstwa, trudnią się najohydniejszym rozbojem, bo na swoje ofiary wybierają tych, którzy przez lat wiele odmawiając sobie najniezbędniejszych potrzeb, oszczędzili z mizernych zarobków skromne kwoty dla wychowania dzieci lub dla ochrony przed śmiercią głodową w razie niemocy. Rabusiów, polujących śród tych gromad biedaków, należy tak samo surowo karać, jak złoczyńców, napadających na drogach lub rozbijających cudze zamki. Przed paru laty pisaliśmy o obostrzeniach, któremi projektowano skrępować wszelkich pobieraczów kaucyi. Miało się to stosować tylko do większych spekulantów, poławiaczy znacznych sum. Nie wiem, czy te same przepisy dałyby się zastosować do aferzystów, zbierających drobne kwotki. Tu niepodobna nawet wprowadzić ścisłej kontroli i baczności lecz czekać trzeba, aż przypadek wykryje nadużycie dobrej wiary biedaków. Jest to znamienny objaw: gorączka sklepikarska, tj. nietylko nabywanie na własność tych drobnych, szybko gasnących płomyków handlu, ale nawet chęć prowadzenia cudzych sklepików za jakiś marny procencik, nie wystarczający na lichą strawę. Takie same kaucye otwierają im wstęp do „posad," a raczej „miejsc" najpodrzędniejszych; przedsiębiorcy-szwindlarze zabierają bezpłatnie pracę i pie-

niądze. A jednak te ćmy naiwne, nieświadome rzeczy, zlatują z różnych stron kraju, zwabione wielkiem ogniskiem pracy różnorodnej i giną w nędzy ostatecznej. Jednocześnie prowincya ciągle narzeka na brak sił ludzkich. Zaraza poszukiwania posad i miejsc, zakładania lub prowadzenia sklepików, ogarnia wszystkie warstwy emigrantów wiejskich; jednocześnie wszelkie pola pracy zarobkowej samodzielnej, przyczyniające się do ogólnego dobrobytu i podniesienia produkcyjności kraju, leżą odłogiem. Te gromady niezaradne, płynące na oślep do miasta, to wyborna mierzwa, z której soków wyrastają bujne kłosy spekulacyi na gruncie wielkich zbiorowisk ludzkich. Nie usuną jej żadne środki doryweze. — *ir.*

#### Niebezpieczna gorączka.

Prawie żadnego skutku dotąd nie odniosło wzmocnienie kontroli nad budowaniem domów. Panowie przedsiębiorcy i ich architekci kpią sobie ze wszelkich obostrzeń i oburzenia ogółu. Gorączka spekulacyjna roznamiętniła ich i rozzuchwaliła niesłychanie; próbują więc szczęścia: albo się przegra, albo wygra; albo dom runie przed wykończeniem, albo się rozpadnie w rękach nowego nabywcy. Zasadą, dającą wszelkie szanse powodzenia, powinien być możliwie największy pośpiech, bo pozwala doprowadzić ściany czteropiętrowe do szczytu prędzej, niż one zdołają się pochylić i porysować; przytem łatwiej jest omylić czujność kontroli, która spóźniwszy się, nie zajrzy już do wnętrza tych ścian. W sezonie bieżącym gra jednak nie idzie pomyślnie: w Łodzi pod jedną kamienicą „zapomniano" położyć fundamentów i to tak niezręcznie, że „omyłkę" spostrzegła komisya budowlana. W Mińsku zawaliła się kamienica Rubinsteina i pogrzebała pod gruzami troje ludzi: stróża i dwoje jego dzieci. Dom był zamieszkały i tylko dzięki temu, że lokatorowie powyjeżdżali na lato, nie zginęło więcej osób. Wypadek zdarzył się o godzinie 4-ej zrana, gdy nie było na ulicy ani robotników, ani przechodniów. Katastrofę wywołały przeróbki na górnem piętrze, przyczem *wyjęto* jedną ze ścian głównych. O kilkanaście kroków od tej kamienicy, ubiegłej jesieni zawalił się niewykończony dom hr. K. Czapskiego, a sąd ujawnił winę budowniczego, kierowników i wykonawców robót. A oto jeszcze jeden najświeższy fakt: W Alejach Ujazdowskich pod nr. 14 wzniesiono wspaniały gmach czteropiętrowy o dwu frontach. Roboty zewnętrzne były już skończono prawie zupełnie; pozostawały tylko wewnętrzne tudzież otynkowanie ścian. Właściciel marzył już o wynajęciu mieszkań, gdy naraz ściany zaczęły się rysować, więc dom opieczętowano i zarządzono śledztwo. Posłuchajmy, jak oświetla te fakty korespondent miński *Gazety polskiej*: „Zawalenie się domu Rubinsteina wywołało wielką sensacyę śród ludności tutejszej. Nie jest to bowiem fakt pojedynczy; powtarza się on u nas stosunkowo często. Jakaż więc jest przyczyna, powodująca te groźne dla mieszkańców katastrofy? Przedewszystkiem winni tu bywają właściciele domów, którzy chcą je wznosić jak najtańszym kosztem, bez najmniejszego względu na bezpieczeństwo. Powtóre, niemniej odpowiedzialni przed sądem ogółu pp. architekci, którzy przecież są od tego, aby zbyt spekulacyjne zapędy właścicieli domów hamowali przynajmniej do tego stopnia, aby mieszkańcy, wynajmujący następnie owe domy, czuli się w nich bezpieczni. Potrzecie, należy zwrócić uwagę, iż cegły, wyrabiane w okolicach Mińska i powszechnie tu przy budowie używane, są nader lichego gatunku, bo i glina jest niedobra i samo wypalanie nieumiejętne. Tylko cegły, sprowadzane z Wilna, odznaczają się trwałością, ale te są rzeczywiście za kosztowne i w wyjątkowych razach bywają używane. Nakoniec rzemieślnicy tutejsi, przeważnie izraelici, niedbale wykonywają robotę i są niedostatecznie wykwalifikowani w swym fachu." W znacznej części te same przyczyny i pobudki grają główną rolę w Warszawie i Łodzi. Tu trzeba nietylko wzmocnić i rozwinąć komisye budowlane, zwiększyć odpowiedzialność winnych, ale wyplenić zupełnie budowniczych niefachowych, sprzedających tanio swoją pracę aferzystom. Wreszcie ściślej rewizyi powinien podlegać także materyał budowlany. —*p.*—

## W DALI.

**Lublin.** Spółka akcyjna „Firley" (dla wytwarzania cementu) wkrótce zaopatrzy swych uczestników w świadectwa tymczasowe, imienne, sztuka po 500 rs., które służyć mają do chwili nadesłania formalnych akcyj z Petersburga. — Miejscowy oddział Banku włościańskiego ma obecnie dużo roboty ze sprawdzaniem układów o nabycie i sprzedaż gruntów. Z wielu towarzystw włościańskich, które już zaciągnęły pożyczki, dokonywają spłaty: Czorna 13 osad, Marysin 34 osady, Maryanki 20, Bystrzyce 82, Wólka Rokicka 50, Wolica 16, Wygoda 4, Szerokie 72, Rury Czubskie 76, Romanów, Ruda 45, Aleksandrów 30, Syczyn 45, Rzeczyca Ziemiańska, Zaklików 24, Wojciechów i Zielonka Górna, najdawniejsza, 30 osad. Według ostatnich danych, w gubernii przy własności większej, pozostało morgów 1,505,909, przy włościańskiej 1,152,893, przy osadach, dawnych miasteczkach — 64,608. Własność włościańska posiada 75,745 osad, średnio więc na jedną osadę przypada 16 morgów gruntu. Według tych samych danych statystycznych, dwory posiadały 17,379 domów, a w dawnych miasteczkach, dziś osadach, znajdowało się 8,626 osad.

**Płock.** Urządzenie wodociągowe w Płocku coraz bardziej się rozwija. Wprowadzono wodę, zlewy i krany już w 35 domach. Obecnie miasto zużywa 4,000 wiader dziennie, a w dnie świąteczne i niedzielne tylko 1,000. Cyfra to dziwnie mała. Poniekąd można to przypisać brakowi kąpieli ciepłych, posługujących się wodociągami. Dotąd Płock posiada tylko dwa takie zakłady (w tem jedna mykwa żydowska). — Stan zasiewów w gub. jest bardzo smutny. Szczególnie jarzyny są nędzne. Trawy zupełnie przepadły. W niektórych miejscowościach podobno nie było deszczu od kwietnia.

**Wilno.** Według zapewnień *Słowa*, pogłoski o udzieleniu księżnej Hohenlohe prawa zatrzymania na własność majątków dotąd nie sprzedanych, nie mają żadnej podstawy. Przeciwnie, administracya dóbr powittgensteinowskich stara się usilnie o znalezienie nabywców na te majątki, gdyż termin ostateczny sprzedaży upływa 13 kwietnia 1896 r. Szczególnie trudna sprawa ma być z Werkami pod Wilnem, utrzymanie bowiem tej wspaniałej, wielkopańskiej rezydencyi pociąga za sobą więcej kosztów, niż całe Werki przynoszą dochodu. To samo pismo protestuje mylne i niepotrzebnie alarmujące dane jednego z korespondentów o spadku cen ziemi w guberniach północno-zachodnich. Istotny stan rzeczy nic jest tak groźny i oto, jak się przedstawia w cyfrach:

| | Szacunek dziesięciny | | Pożyczka na dziesięc. | |
|---|---|---|---|---|
| Gub. kowieńska | rs. | 60,21 | rs. | 34,10 |
| „ grodzieńska | „ | 40,69 | „ | 23,26 |
| „ [illegible] | „ | 33,62 | „ | 18,93 |
| „ witebska | „ | 29,61 | „ | 17,76 |
| „ [illegible] | „ | 27,30 | „ | 15,22 |
| „ mińska | „ | 15,79 | „ | 8,60. |

Według *Now. Wrem.*, ministeryum rolnictwa postanowiło utworzyć w gub. półn.-zachodnich „spółki mleczarskie" przetwórcze. Mogą one powstawać w miejscach odległych najmniej o 20 wiorst od najbliższego miasta i o ile ludność okoliczna będzie mogła dostarczyć spółce do przerobu minimum 5,000 pudów mleka w okresie od początku wielkiego postu do 1 października.

**Kijów.** Sprawa cukrownicza stoi ciągle na porządku dziennym, a na jej temat wytwarza się mnóstwo pogłosek mniej lub więcej wiarogodnych. Pisma miejscowe podają szczegóły o działalności komisyi rządowej, która opracowała środki uregulowania produkcyi w tej dziedzinie przemysłu i uzyskała już ich zatwierdzenie. Otóż ilość cukru, wystarczającą najzupełniej na spożycie wewnętrzne, ma być zamknięta w granicach 27 milionów pudów. Po za tem nie wolno będzie więcej sprzedawać na rynkach krajowych. Dla poparcia małych cukrowni rolniczych ma być przyjęta zasada, że każda fabryka może wytwarzać dla rynków wewnętrznych po 60,000 pudów. Ze względu atoli, że taka norma nie odpowiadałaby potrzebom krajowym, ilość produktu, jakiej brakłoby jeszcze do 27 mil., postanowiono podzielić pomiędzy wszystkiemi cukrowniami w stosunku do rozmiarów ich produkcyi (po nad 60 tys. pud.). Z przewyżki po nad 27 milionami pudów trzy miliony pozostają w fabrykach, jako zapas na wypadek niedoboru, lub wogóle zwyżki cen, a cała reszta, to jest przeszło 30 milionów, musiałaby opłacać znacznie wyższą akcyzę, albo być wywieziona za granicę. Jako normę cen przyjęto podobno: w miesiącach zimowych 4 rs. 75 kop., a w letnich 5 rub. za pud. Dalej postanowiono, jakoby do dnia 13 lipca r. b. zebrać dane o produkcyi w okresie 1894/95 r. i na ich zasadzie fabrykom, które wypuściły na rynek wewnętrzny więcej niż norma każe, ma być w r. p. zmniejszona odpowiednio ilość produktu, którą wolno im będzie sprzedawać w obrębie państwa. — Wśród urzędników kolei Południowo-Zachodnich obiegają, według *Odes. List.*, pogłoski, że z 50-ciu milionów, które skarb ma wypłacić byłemu Towarzystwu, rząd zatrzymał 5 milionów i przeznacza tę sumę na gratyfikacye dla urzędników. Każdy oficyalista ma otrzymać zasiłek w wysokości pensyi rocznej.

**Moskwa.** Przybyli tu kapitaliści amerykańscy w celu zawiązania akcyjnego Towarzystwa budowy domów w miastach guberuij zachodnich, dotkniętych pożarami w roku bieżącym. Zjednoczeni przedsiębiorcy zamierzają wznieść fabrykę, w której budować będą domy przenośne, następnie rozebrane na części, przewozić koleją na miejsce. Jest to pomysł dotąd nie bywały w obrębie państwa, a więc tem ciekawsze będą jego wyniki.— Przed kilku dniami w niektórych pismach warszawskich ukazały się ogłoszenia o pośrednictwie w grze totalizatorskiej w Moskwie i Carskiem Siole. Z tego powodu moskiewskie Towarzystwo wyścigów konnych zwróciło się do władzy warszawskiej o przeciwdziałanie takiemu pośrednictwu, do którego nikogo nie upoważniło. — Kolej Kijowsko-Woroneska postarała się o zmianę nazwy. Wolno jej się tytułować nadal: Moskiewsko-Kijowsko-Woroneską. Jest to już druga zmiana; przed kilku laty nazywała się Kursko-Kijowską. Dziś towarzystwo tej linii komunikacyjnej sięga od Kijowa aż do Moskwy.

## SPRAWY EKONOMICZNE

### JARMARK WEŁNIANY.

Rozpoczął się on — jak głoszą sprawozdania — w warunkach bardzo niekorzystnych. Jest to piosnka stale co rok powtarzana. Przyjrzyjmy się przebiegowi interesów. Zapas z roku poprzedniego wynosił w Warszawie 7,775 p. 8 f.; w składach prowincyonalnych około 23,000 p. Oczywiście towar ten przywieziono obecnie wraz z nową wełną. Do chwili urzędowego zamknięcia jarmarku dowieziono 68,390 p. 29 f. Tym sposobem ogólna ilość wełny wraz z remanentem wynosiła 76,165 p. 37 f., gdy w roku zeszłym wystawiono na sprzedaż tylko 63,321 p. 28 f. Suma obecna wzrosła tak znacznie pomimo mniejszej wydajności, niż w r. z., skutkiem właśnie tych wielkich zapasów niesprzedanych i z powodu że zakupy na miejscu, u gospodarzy, były bar-

małe. Wytwórcy, niezrażeni tem, postawili zrazu takie same żądania, jak na jarmarku poprzednim, do czego ich zachęciła zwyżka na Szląsku, w Prusach i wogóle na targach zachodnio-europejskich. Kupcy, jak zwykle, złączeni większą solidarnością, ofiarowywali ceny o wiele niższe od żądań producentów i skutkiem tego w ciągu niemal trzech dni nie dokonano żadnej tranzakcyi. Dopiero po zniżce 8—10 talarów w stosunku do cen przeszłorocznych na gatunkach średnich i średniocienkich zapanowało jakie takie ożywienie. Dzięki temu, z chwilą zamknięcia jarmarku sprzedaż wynosiła 21,500 p., tj. 28% ogólnej ilości. Po jarmarku ustępstwo doszło nawet do 12 talarów na centnarze, skutkiem czego zdołano sprzedać w ciągu 19 i 20 czerwca około 36,000 p.

Jak widzimy, rezultat to nieświetny, a nawet bardzo smutny. Ziemianie zniechęceni przyszli do przekonania, iż nie warto hodować owiec. Skądże wynika to stałe niepowodzenie? Przedewszystkiem z braku dostatecznego uświadomienia ogólnych warunków, z nieumiejętności organizacyjnej w sprawach przemysłowo-handlowych, z siły kupców i spekulantów, którzy zawsze są panami położenia i wiedzą, że pierwej czy później wełna dostanie się w ich ręce. Po za tem niekorzystne dla hodowców są inne, bardzo ważne warunki. W ostatnich latach ogromnie się zwiększył dowóz wełny węgierskiej i niemieckiej do fabryk tutejszych, dzięki pewnym warunkom traktatu handlowego między Rosyą a Niemcami, który przyznał dla wytwórców zagranicznych ustępstwa celne w tej mierze. Ale same cła niewielkie miałyby znaczenie, gdyby nie przewaga obcokrajowców w kulturze i technice. Zwiększenie hodowli, ulepszenie fabrycznego mycia wełny, wogóle zastosowanie wszelkich środków, zmniejszających koszt produkcyi, dałoby im możność zaofiarowania przemysłowcom tutejszym dobrego i względnie taniego towaru. Handlarze węgierscy i niemieccy dostarczają wełnę równą, jednolitą w całej partyi, a więc niepotrzebującą sortowania. Co ważniejsza, dowożą towar fabrykantowi wprost na miejsce i to ściśle według uprzednich próbek; przyczem cło i wszelkie inne koszty wliczone są w cenę samego towaru. Nie koniec na tem: hodowcy zagraniczni dają swym nabywcom tani i duży kredyt kilkomiesięczny. Dzięki takim udogodnieniom, wełna zagraniczna kosztuje fabrykanta 20—25, a wyborowa 29 rs. za pud. Oto, gdzie tkwi siła hodowców zagranicznych i niemoc naszych. Opuszczają oni ręce i chcą zaniechać hodowli owiec bo nie widzą dróg wzmocnienia gospodarki wełnianej. Trzeba być wielkim krótkowidzem, ażeby owych dróg nie dostrzedz i nie zgodzić się na to, że zarówno hodowla owiec, jak i handel ich produktem stoi u nas na bardzo nizkim poziomie. A przecież przy dogodnych obecnie pożyczkach bankowych chyba nie byłoby trudnem założenie wspólnemi siłami pralni fabrycznej i urządzenie wzorowego sortowania. Obecny jarmark powinien zmienić swój charakter pierwotny, stać się środkiem zawierania umów, na których mocy hodowcy mogliby wzorem obcych dostarczać fabrykantom towar na miejsce. Podobno wełna nasza posiada większe zalety, niż zagraniczna. Przy zastosowaniu więc odpowiednich środków technicznych, przy zmianie systemu handlowego, wreszcie wobec tańszej dostawy, nasi hodowcy niewątpliwie z czasem zdobyliby przewagę nad zagranicznymi. Przy tem wszystkiem należałoby wprowadzić nietylko do serca, ale i czynu, radę p. Franciszka Górskiego, wypowiedzianą na ostatniem posiedzeniu sekcyi rolnej: Trzeba dążyć do zniżenia kosztów hodowli owiec za pomocą karmienia ich paszą z roślin okopowych i łubinu zamiast koniczyny i siana, zaniechać zanadto cennego i niepotrzebnego wydelikacania zwierząt, bo jak dowiodła praktyka gdzieindziej, wbrew twierdzeniom naszych ziemian, są one wytrwałe i nie wybredne.

Hodowcy nasi, nauczeni już nie po raz pierwszy smutnem doświadczeniem, powinni według udzielonej im rady ułożyć statut stowarzyszenia wytwórców wełny i niezwłocznie związek w czyn wprowadzić za pośrednictwem Towarzystwa przemysłu i handlu. „Wzmocni to siłę ekonomiczną, da możność jaśniejszego rozglądania się po świecie i przedsiębrania odpowiednich kroków u siebie. Przedtem wszakże, jak słusznie zaleca p. Werner w *Gazecie rolniczej*, należy przeprowadzić dokładny przegląd okręgów fabrycznych za granicą (niemieckich i francuskich) dla stwierdzenia, czy się da powiększyć liczba nabywców wełny, współzawodniczących u nas. Jeżeli to możliwe, w takim razie przy izbach handlowych, w muzeach przemysłowych, przy szkołach tkactwa trzeba poumieszczać próby wełny tutejszej, ze wskazówką, jaką ilość każdego gatunku dać można, jakie były ceny i kto na pytanie handlowe może odpowiedzieć. Konsulaty rosyjskie w Niemczech, Belgii i Francyi niewątpliwie poczynią ułatwienia w tej mierze. Jedną z najpilniejszych potrzeb w kraju jest konieczność powiększenia magazynów bankowych. Ten bowiem brak dotkliwy nasi hodowcy mają świeżo w pamięci. Stosy wełny musiano złożyć pod otwartem niebem bez przykrycia i zabezpieczenia od ognia. Ci, którzy się nie mogli dostać do gmachu bankowego, musieli nawet dobre gatunki sprzedawać za bezcen.

*Dr.*

---

**Koleje w Rosyi**. W tych dniach wydział statystyczny przy ministeryum komunikacyi w Petersburgu zakończył swą obrachunkową działalność, ściśle wykazującą sumę dochodów i rozchodów kolejowych za r. 1893, oraz liczby przewiezionych pasażerów i rozmaitych towarów po sieci dróg żelaznych na przestrzeni 35,154 wiorst, będącej obecnie w posiadaniu państwa; nadto obliczył zastęp służbowy i przewidywane, na zasadzie dokumentów, wyniki eksploatacyi za rok 1894.

Z owej sieci należy w chwili obecnej: Do skarbu 20,344 wiorst, do towarzystw prywatnych 11,359, do ministeryum wojny (kolej Zakaspijska) 1,343, do Wielk. ks. Finlandzkiego 2,108. Koleje te dały dochodu wogóle za 1893 rok 294,656,676 rs., rozchodu 185,149,270, czystego zysku 109,507,406. Przejechało pasażerów 51,523,756. Przewieziono towarów 4,846,429,299 pud., w tej liczbie zboża i mąki 901,195,000 pud. Służyło na kolejach osób wogóle 301,346. Utrzymanie ich kosztowało 95,508,055 rs. 63 kop. Koleje skarbowe (w r. 1893 przestrzeń ich wynosiła 12,428 wiorst) dały dochodu wogóle 117,965,191 rs., rozchodu 66,983,664, czystego zysku 50,981,527 rs. Przejechało pasażerów 17,727,866. Służyło na kolejach 33,831 osób. Utrzymanie ich wyniosło 13,291,194 rs. 53 kop. Obroty kolejowe wogóle za rok 1894 dadzą się wyrazić w następujących cyfrach: Wszystkich kolei dochód za 1894 r. 351,816,217 rs. Przejechało osób 47,137,794. Przewieziono towarów 4,365,941,000.

Nadto uważamy za stosowne nadmienić, iż kolej Zakaspijska, posiadająca obecnie, jak oznaczono wyżej, 1343 wiorsty, ma być przedłużoną przez ministeryum komunikacyi przeszło o 516 wiorst; prowadzoną będzie od Samarkandy przez Dżizak na Chodżent, Kokan, Margelan do Andiżanu, w kierunku południowo-wschodnim. Od Turkiestanu zaś, który pozostanie z boku, będzie przeprowadzona osobna gałąź dla połączenia go z projektowaną koleją. W pobliżu Andiżanu, gdzie kolej Zakaspijska będzie się zbliżać ku końcowi, linia jej wejdzie w prowincyę Fergańską, podchodząc do Kaszgaru — na wschód i do Afganistanu — na północ. Należy przypuszczać, że droga ta przerzynająca najobfitsze w bawełnę dzielnicy Turkestanu, pod względem ekonomicznym zyska poważne znaczenie.

Niezależnie od postępującej się budowy kolei Syberyjskiej, oraz nowych tam poszukiwań, na co komitet wydelegował tam wielu specyalistów, wkrótce mają być rozpoczęte następujące gałęzie dróg żelaznych w środku Państwa: od Moskwy do Brańska; od Rybińska do Jarosława; od Pskowa do Bołogoe; od st. Jelec do Wołujki; od st. Tichorecka do Carycyna, od st. Marmoże (kol. Kijowo-Woronezkiej) do st. Liwny (kol. Liwieńska) i od st. Grafskaja (Kozłowsko-Rost.) do sioła Anna, Olita-Suwałki, Grodno-Dombrowo-Jastrzembna, Kowno-Suwałki-Augustów-Jastrzembna-Janów-Białystok, Radziwiliczki-Mitawa, Chełm-Zamość, Kowel-Dombrowiec i Ostrołęka-Tłuszcz-Piława.

*J. T.*

## KRONIKA.

**Szkoły.** Rada państwa zatwierdziła wnioski ministeryum oświaty co do reformy wykształcenia handlowego w państwie. Będzie 5 typów zakładów: 1) klasy handlowe; 2) jedno i trzyklasowe szkoły handlowe; 3) siedmioklasowe; 4) męzkie i żeńskie kursy wiadomości handlowych; 5) akademie handlowe. Wszystkie podlegać mają departamentowi handlu i rękodzieł.

— W przyszłym roku szkolnym w wyższych i średnich zakładach agronomicznych powstaną nowe katedry: historyi rolnictwa, oraz prawodawstwa rolniczego w Rosyi i za granicą. (*Now. Wr.*).

**Dobroczynność.** Rada miejska dobroczynności publicznej wysyła w r. b. 35 chłopców z domu wychowawczego przy szpitalu Dzieciątka Jezus na kolonię letnią pod Nowomińskiem. Nadto przystępuje do urządzenia własnej we wsi Drewnicy, na gruncie Towarzystwa dobroczynności. Na początek urządzona będzie kolonia na 70 wychowańców. Wznoszenie budynków rozpocznie się jeszcze w r. b., a na przyszły będą one już gotowe do użytku. Niezależnie od tego Rada wysyła w r. b. 15 dzieci do Ciechocinka.

— Rada miejska dobroczynności publicznej przy zatwierdzeniu na r. b. etatu wydatków w sumie rs. 16,562 na utrzymanie sześciu przytułków dla biednych położnic i kantoru stręczenia mamek, uchwaliła także otworzenie siódmego, na Pradze, dla starozakonnych. Koszty utrzymywania ponosić będzie gmina żydowska.

— Na prezesa warszawskiego Tow. dobroczynności wybrano Michała ks. Radziwiłła.

**Koleje i komunikacye.** Ministeryum wysyła specyalnych urzędników do Belgii dla szczegółowego zapoznania się z tamtejszą taryfą kolejową osobową, która obejmuje system długoterminowych biletów pasażerskich. W ogólnych zarysach polega on na tem, że każdy ma prawo przejechać całą Belgię w różnych kierunkach w ciągu dni 15 w klasie III za 25 fr., w kl. II za 38 fr. i w I za 50 fr. Kraj ten, pomimo że jest mały, posiada najgęstszą sieć kolei żelaznych, więc bilety długoterminowe mają tam ważne zastosowanie. Oprócz 15-dniowych są jeszcze roczne (400 fr.), półroczne (240 fr.) i trzymiesięczne (133 fr.), za którymi można jeździć, gdzie się podoba, w granicach Belgii.

— Towarzystwo kolei Kijowsko-Woroneskiej otrzymało pozwolenie na budowę drogi dojazdowej od st. Piratyn do przystanku Krasnoje na lewym brzegu Dniepru wprost Czerkasów. Będzie to przedłużenie gałęzi linii dojazdowej od st. Pruty, kolei Kijowsko-Woroneskiej, do Piratyna.

— Wyszło rozporządzenie, zabraniające stanowczo gry w karty w pociągach osobowych. Urzędnicy kolejowi, w razie udziału, tracą natychmiast służbę.

— Na zjeździe kolejowym w Brukseli postanowiono wprowadzić w życie bezpośrednią komunikacyę osobową i bagażową między Kijowem i Odesą z jednej, a Berlinem przez Warszawę z drugiej strony.

— Kolej z Berdyczowa do Żytomierza skończona będzie we wrześniu, następnie ma podobno w dalszym ciągu przejść przez Owrucz i połączyć się z drogami Poleskiemi.

**Zdrowie publiczne.** Pewien hodowca pszczół zrobił przypadkowe odkrycie, że sok liści chrzanu posiada własności uśmierzania bólu i puchliny, wywołanej ukąszeniem pszczół. Trzeba miejsce chore nacierać świe-

żyną i ćmi i smarować wyciśniętym z nich sokiem. Jest on podobno nawet pomocny w innych jeszcze wypadkach: w razie poparzenia lub popieczenia ciała, opuchnięcia, lub też dla przerwania zapaleń u ludzi i zwierząt.

— Departament lekarski wprowadza przepis, według którego zarząd aptekami, należącemi do szpitalów i innych zakładów, powierzany będzie tylko uzdolnionym farmaceutom. Felczerzy od tej czynności stanowczo będą usunięci.

— W okolicach Warszawy, Mszczonowie i Błoniu, powstały ambulatorya. Ubodzy otrzymują poradę darmo, zamożniejsi — za 30 kop.

**Wystawy i zjazdy.** Wystawę jedwabniczą otwarto w Odesie staraniem miejscowego Towarzystwa rolniczego.

— Wystawę maszyn rolniczych otworzyło w tych dniach moskiewskie Towarzystwo rolnicze.

**Zmarli.** Antonina Różniakowska, rzeźbiarka, w Krakowie. Ur. r. 1860 w okolicach Berdyczowa, kształciła się pod kierunkiem Marcelego Guyskiego. Z celniejszych prac: „Popiersie Bliziń-kiego,“ „Portret własny autorki,“ fantazyjna główka kobieca „Lotus.“

— Zdzisław Horodyński, dr. filozofii, pierwszy skryptor biblioteki uniwersytetu lwowskiego, zm. w Brzuchowie pod Lwowem. Brał udział w licznych wydawnictwach zbiorowych, napisał wiele prac naukowych i rozpraw specyalnych, między innemi „Lata szkolne Brodzińskiego“ i „Obraz piśmiennictwa polskiego od XV do XIX w.“

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Pani O. w Kochanówku.* Co kwartał odbieraliśmy 90 rs 3, razem rs. 9, zatem należy się nam rs. 1.

## OFIARY.

*B. B. i M.* dla uczczenia zmarłego kolegi na wpisy dla ucznia rs. 15.

*P. Osmołowska* dla Towarzystwa opieki nad biednemi matkami rs. 3.

*L. Z.* na kolonie letnie rs. 1, na pogorzelców: Brześcia rs. 1, Kobrzynia kop. 50 i Rożan kop. 50.




Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Іюня 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.